OSTATNIE DNI POMPEI.

„Gazeta Polska“. Tom 46 (LIX).

OSTATNIE DNI POMPEI

przez

E. L. Bulwera

TOM IV

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“
Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 24 Сентября 1899 года.

KSIĘGA IV.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XII.

Osa odważa się wleźć w pajęczynę.

Nastała noc druga od czasu rozpoczęcia sprawy, i zbliżyła się chwila, w której Sozya miał się dowiedzieć przeznaczenia swojego od straszliwej istoty, gdy przez otwarte drzwi ogrodu wszedł nie już duch tajemniczy powietrza, lub ziemi, ale ciężka i nader pospolita postać kapłana Izydy, Kalena. Spostrzegł on skromną ofiarę z owoców i wina pobożnego Sozyi, i rzekł do siebie:

— Musi to być jakaś danina dla bożka ogrodów. Na głowę ojca, jeżeli to zacne bóstwo nigdy lepiej nie jada, radziłbym mu zaniechać tak głodnego rzemiosła. Ci bogowie wtenczas tylko dobrze się mają, gdy są przez nas, kapłanów, usługiwani. Mam więc rozmówić się z Arbacesem. Wiem jak niebezpieczną zamierzyłem iść ścieżką, ale wiem

także, że ona wiedzie do kopalni złota. W mojem ręku życie Egipcyanina; zobaczymy, jak też je drogo oceni.

Mówiąc to, spostrzegł nagle Arbacesa, wychodzącego z jednych drzwi peristylu.

— Ach! czy ze mną chcesz się widzieć, Kalenie, — rzekł Egipcyanin głosem, malującym niejaką trwogę.

— Tak jest, mądry Arbacesie; pochlebiam sobie, że odwiedziny moje nie są niewczesne?

— Czyż można o tem wątpić? przed chwilą mój wyzwoleniec kichnął za mną trzy razy; wiedziałem więc, że mnie czeka jakieś szczęśliwe zdarzenie... aż oto bogowie zsyłają mi Kalena.

— Chciej ze mną wejść do twej sypialni, Arbacesie.

— Bardzo chętnie... wolałbym jednak pozostać na świeżem powietrzu. Udajmy się do ogrodu; tam równie będziemy samotni.

— Z całego serca—odpowiedział kapłan; i dwaj *przyjaciele* udali się na taras, ozdobiony wielką liczbą rozlicznych kwiatów.

— Co za rozkoszna noc! — rzekł Arbaces; — tło nieba tak czyste, jak w owym dniu, gdym przed dwudziestu laty po raz pierwszy ujrzał czarowne Włoch brzegi. Mój Kalenie, starość się zbliża; umiejmy przynajmniej czuć, żeśmy żyli.

— Ty się tem bardzo łatwo możesz pochlubić— rzekł Kalenus, szukający sposobności wylania ciężącej mu na umyśle tajemnicy; posiadasz niezliczone bo-

gactwa, niezachwiane zdrowie, jesteś szczęśliwy w miłości, rozkosze twe niewyczerpane, a teraz już i zemsta odnosi zwycięztwo.

— Mówisz o Ateńczyku? Tak jest, jutrzejsze słońce będzie świadkiem skazania go na śmierć. Surowość Senatu jest niezachwianą. Mylisz się jednak, sądząc, że na nim zemstę wywieram; zguba jego to mi tylko przynosi zadowolenie, iż mię pozbawia niebezpiecznego w miłości dla Jony rywala. Ten jeden jest powód mej nienawiści dla tego nieszczęśliwego zabójcy.

— Zabójcy! — powtórzył Kalenus z miną znaczącą, wpatrując się bacznie w twarz Arbacesa. Gwiazdy bladem światłem oświecały swego proroka oblicze; żadna w niem jednak nie ukazała się zmiana; zawiedziony w swem oczekiwaniu Kalenus z niechęcią odwrócił oczy w bok, potem nagle zawołał: Dobrze czynisz, że oskarżasz Glauka o ten występek; nikt jednak lepiej nie wie nad ciebie, że on niewinny.

— Wytłómacz się — rzekł zimno Arbaces; — był już bowiem przygotowany usłyszeć z ust kapłana to wyznanie.

— Arbacesie — odpowiedział zcicha Kalenus, ja byłem w świętym gaju ukryty w gęstwinie drzew za kaplicą, słyszałem wszystko, i widziałem, coś uczynił. W moich oczach żelazo twoje przeszyło serce Apaecidesa. Daleki jestem od ganienia ci tego postępku; pod ciosem twoim poległ nieprzyjaciel i odszczepieniec.

— Widziałeś, com uczynił — rzekł sucho Arba-

ces; — jużem się tego domyślał... Czyś był sam jeden?

— Sam jeden! — odrzekł Kalenus, zadziwiony spokojnością Egipcyanina.

— Dlaczegóżeś się krył za kaplicą o tak spóźnionej godzinie?

— Wiedziałem o nawróceniu się Apaecidesa na wiarę Nazarejczyków; wiedziałem, że w miejscu tem miał schadzkę z dzikim Olintem! Wiedziałem, że celem tej schadzki była narada nad sposobem wyjawienia ludowi świętych tajemnic naszej bogini; zakradłem się więc, aby wysłuchać ich zmowy, i zburzyć ich zuchwałe zamysły.

— Czyś powierzył komukolwiek z żyjących to, czegoś był świadkiem?

— Nie, panie, tajemnica ta dotąd zagrzebana w łonie sługi twojego.

— Jakto, czyliżby nawet Burbo, twój krewny, nie miał o tem podejrzenia żadnego? Bądź szczerym; wyjaw mi całą prawdę.

— Na bogi...

— Ciszej! znamy się dosyć... bogi niczem są dla nas.

— Przysięgam więc na bojaźń twej zemsty, żem nic nie rzekł nikomu!

— Dlaczegóżeś dotąd nie powierzył mi tej tajemnicy? dlaczego aż w przedostatni dzień sądu Ateńczyka ośmieliłeś się powiedzieć, że Arbaces mordercą?

— Bo... bo... — jąkał Kalenus zmieszany i zapłoniony.

— Ja odpowiem za ciebie — przerwał Arbaces, przyjaźnie i poufale uderzając kapłana po ramieniu; zobaczysz, jak umiem czytać w twojem sercu; czekałeś, aż się tak do sprawy zawikłam, że mi żadna do wycofania się nie zostanie droga; chciałeś, abym stanął między morderstwem i krzywoprzysięztwem; czekałeś, aż tak zapalę okrutną krwi żądzę ludu, że pomimo znaczenie i skarby, sam będę musiał stać się jego ofiarą; teraz zaś, w ostatniej chwili rozwiązania procesu, powierzasz mi swą tajemnicę, abym tem lepiej uczuł ważność niebezpieczeństwa; abym tem wyżej cenił twoje milczenie; abym się stanowczo przekonał, że obudzona przezemnie zajadłość ludu na jedno twe słówko do mnie skierować się musi, i że lwia paszczęka, dziś otwierająca się dla Glauka, może być także gotową dla Arbacesa! Czyliżem nie dobrze cię pojął?

— Arbacesie — rzekł Kalenus, wszelkiej pozbywając się zuchwałości—jesteś prawdziwym czarnoksiężnikiem. Tak czytasz w sercu, jak na zapisanej tabliczce.

— To powołanie moje — odpowiedział Egipcyanin, śmiejąc się. — Dochowaj mi więc tajemnicy, a gdy już wszystko się skończy, zostaniesz przezemnie wzbogacony.

— Przebacz mi — rzekł chciwy kapłan, nie dowierzając przyszłej jego szczodrocie; — dobrześ powiedział, że się znamy nawzajem. Jeżeli chcesz,

abym zachował milczenie, musisz mi dać zadatek, jako wstępną dla Harpokratesa ofiarę. Jeżeli chcesz, aby róża, to słodkie godło milczenia, głęboko rozpostarła korzenie, dziś jeszcze polej ją złota potokiem

— Otóż to poezya i dowcip — odpowiedział Arbaces głosem, którego udana słodycz usypiała i podżegała żądzę bogactw chciwego kapłana. Chciej przynajmniej do jutra zaczekać.

— Na cóż to opóźnienie? Jeżeli się doczekam, aż niewinna polegnie ofiara, nie będę mógł bez shańbienia się uczynić żadnego zeznania; ty zaś, może już wtenczas nie zechcesz uznać słuszności sprawiedliwej mej prośby; zresztą, to twoje teraźniejsze wahanie się źle dosyć wróży o twej przyszłej wdzięczności.

— Dobrze więc, mój Kalenie, jakiejże odemnie wymagasz zapłaty?

— Życie twoje szacowne a skarby niewyczerpane — rzekł kapłan z uśmiechem.

— Coraz więcej dowcipu. Mów jednak wyraźniej, jak cenisz swą przyjazną uczynność.

— Arbacesie, słyszałem, że w tych rozległych podziemiach, których sklepienia wspierają twe wspaniałe salony, ukrywasz stosy złota, kosztownych naczyń i klejnotów, wyrównywające skarbom boskiego Nerona. Mało znacząca ich cząstka, któraby nawet ich nie uszczupliła ogromu, uczynić może Kalena najbogatszym kapłanem w Pompei.

— Pójdź, Kalenie — rzekł Arbaces z miną szczerości i wspaniałości; tyś mój dawny przyjaciel, a widzę, że także chcesz wiernym być sługą; jak ty

nie możesz żądać pozbawienia mię życia, tak ja nie mogę być skąpym w przynależnej tobie nagrodzie. Pójdziesz wraz ze mną do tych skarbów, o których mi nadmieniłeś; nasycisz wzrok widokiem klejnotów i złota i tej jeszcze nocy uniesiesz z sobą wszystko, cokolwiek ukryć potrafisz w swej szacie; a gdy raz zobaczysz, co twój przyjaciel posiada, pojmiesz łatwo, jak nierozsądnie byłoby chcieć zaszkodzić człowiekowi, który tyle dać może. Gdy już nie będzie Glauka, drugi raz odwiedzisz me skarby. Powiedz mi, czy ci się podoba ta mowa i czy wierzysz w szczerość mojej dla ciebie przyjaźni?

— O, największy, najcnotliwszy z ludzi! — zawołał Kalenus, płacząc prawie z radości; o, gdybyś mógł zagrzebać w niepamięci moje obelżywe powątpiewania o twej szczodrobliwości i cnocie!

— Milczenie! jeszcze tylko część przebiegniemy ogrodu, a już się do podziemnego zbliżymy sklepienia.

ROZDZIAŁ XIII.

Wróżbiarstwo dla niewolnika. — Ślepi podchodzą czasem zaślepiających się. — Jednej nocy uwięzione dwie osoby.

Nidya z niecierpliwością oczekiwała przybycia niemniej niecierpliwego Sozyi, który, zasiliwszy zachwiane swe męztwo obfitemi libacyami wina lepszego, niż to, którem uczęstował ducha ciemności, wszedł nakoniec ostrożnie do izby niewidomej.

— Cóż więc, Sozyo! czyś zastawił stół, czyś przyniósł czarę czystej wody?

— Tak jest, wszystko to uczyniłem, lecz wyznaję, że bać się istotnie zaczynam. Czyś pewną tego, że widzieć nie będę czarta? Słyszałem, że ci panowie nie są ani piękni, ani dość ugrzecznieni.

— Bądź spokojny! Czyś zostawił wpół otwarte drzwi do ogrodu?

— Tak jest, i na małym stole umieściłem piękne orzechy i jabłka.

— Dobrze; potrzeba jednak i te drzwi także otworzyć... Teraz, Sozyo, podaj mi lampę.

— Spodziewam się, że jej nie zgasisz?

— Nie, lecz muszę wyrzec urok nad jej płomieniem. Usiądź i zachowaj się spokojnie.

Gdy to uczynił, Nidya nachyliła się ku lampie i cichym głosem następne śpiewała wyrazy, w wolnych zebrane rymach:

Kraśna Tessalskiej rodziny dziewica
Luba powietrzu i wodzie;
Dla niej gwiazda kochanków w ciemną noc przyświeca
Ją wita pierwszy uśmiech jutrzenki na wschodzie;
Co mądrego Egiptu ma w sobie nauka,
Czem się odznacza Magów tajemnicza sztuka,
Obrót światów, podziemnej głębokość otchłani,
Wszystko to, wszystko nie jest obcem dla niej.

Duchu powietrzny, istoto uroku,
Wysłuchaj, bliski niebianów stolicy,
Prośby Tessalki, pozbawionej wzroku,
Prośby dziewicy.

Przez sztukę Eryktony, której dziwna siła
Cudowną rosą życia umarłych rzeźwiła,
Przez wrócone miłości Eurydyki cienie,
Przez czary mściwej kochanki Jazona,
Przybądź, maro, na skrzydłach wiatru zawieszona!
Wzywa cię moje westchnienie.
Przybądź i, cucąc uśpione
W lękliwej duszy nadzieje,
Odkryj przed okiem śmiertelnych tajone
Przyszłe ich losu koleje.

Przybądź! ach, przybądź! a żadne z bóstw w niebie
Ani piorunnym ciskający grzmotem
Sam nawet Jowisz, nad ciebie
Wyższym czci mojej nie będzie przedmiotem.

— Jestem pewien, że duch już zaraz nadejdzie —rzekł Sozya; już go czuję w mych włosach.

— Postaw czarę na ziemi i daj mi tę serwetę, abym nią zasłoniła twarz twoją i oczy.

— Że też to żadne czarodziejstwo nie może się obejść bez tego... Nie ściskaj tak mocno, proszę cię bardzo.

— Czy widzisz co?

— *Proh Jove*! Jakżebym mógł widzieć, gdyś tak starannie zasłoniła mi oczy.

— Pomnij więc zapytać się potrzykroć cichym głosem o to, czego dowiedzieć się pragniesz. Jeżeli usłyszysz szmer wody, będzie to znakiem, że się spełnią twoje życzenia; milczenie będzie dowodem przeciwnego chęciom twym losu.

— Boję się, abyś tą wodą nie wyrządziła mi jakiej czarodziejskiej psoty.

— Postawię czarę tak blisko przy tobie, abyś był pewnym, że się jej dotknąć nie mogę mimo twej wiedzy.

— Bardzo dobrze. Teraz bądź mi przychylny, Bachusie! Wszakżem cię zawsze przenosił nad inne bogi; a jeżeli obronisz mię od tego czarta wodnego, ślubuję poświęcić ci srebrną czarę, którą przeszłego roku ukradłem u grubego szafarza. Ty zaś, o duchu!

odpowiadaj na zapytanie moje: czy będę mógł za rok wolność okupić? Żyjąc w powietrzu i obcując z ptakami, którym znane są wszystkie tego domu tajemnice *), wiadomem ci być musi, że od lat trzech kraść tutaj zwykłem wszystko, com tylko mógł uchwycić bez narażenia się; a jednak dla dopełnienia potrzebnej sumy, braknie mi jeszcze dwóch tysięcy sesterców. Czyliż będę tak szczęśliwym, o dobry duchu! abym w ciągu roku uzupełnił tę sumę? Racz przemówić... Czy wre woda?.. Nie, cicho, jak w grobie. Może więc za dwa lata tyle będę szczęśliwym? Ach! coś daje się słyszeć! duch drapie się do drzwi. Za dwa lata, kochany przyjacielu; to bardzo ograniczone żądanie. Jakto! jeszcześ niemy! dwa lata i pół... trzy lata .. cztery lata! ach! przyjacielu, to niedobrze... Pięć lat... sześć lat... siedem lat .. Niech cię Pluton porwie! Już cię o nic pytać nie będę.

To rzekłszy, Sozya, pełen wściekłości, wywrócił stojącą przy nogach swych wodę; potem, złorzecząc i narzekając, z trudnością zdarł serwetę, a oglądając się wokoło, poznał, że się w głębokiej znajdował ciemności.

— Hola! Nidyo! tyś poszła, unosząc lampę. Ach! zdrajczyni! złapię ja ciebie i pożałujesz wypłatanego figla.

Omackiem znalazł drzwi; lecz się przekonał, że

---

*) Mniemano, że ptaki znają wszystkie sekrety. Przesąd ten dziś jeszcze panuje na Wschodzie, a nawet są jego przykłady w podaniach północnej Anglii.

były zewnątrz na zasuwę zamknięte. On to był więźniem na miejscu Nidyi. Co czynić? Nie śmiał stukać ani krzyczeć z bojaźni, aby go nie usłyszał Arbaces. Zresztą Nidya musiała się dostać do ogrodu i już zapewne była daleko.

Tymczasem młoda niewidoma z właściwą sobie wprawą dostała się do ogrodu i śpiesznie zbliżała się do drzwi, gdy nagle usłyszała szelest zbliżających się kroków i straszliwy głos Arbacesa samego. Przejęta niepewnością i trwogą stanęła, a przypomniawszy sobie, że było inne wyjście, przez które wprowadzano kobiety na tajemne igrzyska Egipcyanina, zwróciła się nagle i wnet się u miejsca tego znalazła. Niestety! drzwi były na klucz zamknięte. Gdy się o tem lepiej jeszcze zapewnić usiłowała, usłyszała za sobą głos Kalena, któremu po chwili cicha odpowiedział Arbaces. Niepodobna było zostać na miejscu, ponieważ rzecz widoczna, że dwaj rozmawiający ku tej zmierzali stronie. Pobiegła więc naprzód i wnet znalazła się w miejscu już dla siebie nieznanem. Powietrze było wilgotne i zimne; rzecz niewątpliwa, że się znajdowała w podziemiach tego zamożnego mieszkania, albo przynajmniej tam, gdzie nie tak łatwo przybycia pana domu obawiaćby się można; a jednak wprawne jej ucho usłyszało znowu kroki i głosy. Biegła więc dalej, omijając ze zwykłą sobie zręcznością zawadzające co chwila jej na drodze ciężkie i silne słupy; im dalej postępowała, tem wilgotniejsze było powietrze, a ile razy zatrzymała się dla odetchnienia, słyszała zawsze ten sam szelest kroków i odgłos niewy-

raźnej rozmowy. Nakoniec przybyła do ściany, ostatecznie zagradzającej dalszą jej ucieczkę. Stanęła więc i ręce załamała z rozpaczy; usłyszawszy jednak, jak coraz zbliżały się głosy, szybko wzdłuż muru pobiegła; rychło uderzyła się o wystającą arkadę i upadła na ziemię. Pomimo silnego potłuczenia się, nie straciła przytomności, nie wydała krzyku, a nawet cieszyła się z przypadku, który jej nastręczył sposobność pozostania w ukryciu. Przywlokła się więc jak tylko mogła najbliżej do kąta utworzonego zbiegiem arkady ze ścianą i, zaledwie pozwalając sobie oddychać, oczekiwała dalszego biegu wypadków.

Tymczasem Arbaces i kapłan zmierzali do skrytej izby, w której miały być tak słynne skarby Egipcyanina. W tej chwili znajdowali się w rozległem *atrium*, albo sali podziemnej, której sklepienia wspierały się na ciężkich i niekształtnych kolumnach. Blade światło lampy, którą niósł Arbaces, niewyraźnie oświecało ściany, utworzone ze spojonych z sobą dziwacznie brył ogromnych kamieni. Zakłócone w spoczynku swym gady wzrok smutny rzucały na przechodniów i wnet kryły się w rozpadlinach. Wzdrygnął się Kalenus, uczuwszy wilgoć i niezdrowe powietrze tych sklepień.

To widząc, Arbaces uśmiechnął się i rzekł:

— Chociaż cię tak przerażają te miejsca, one to jednak zasilają jaśniejący w salach mych zbytek. Można je porównać do prostych robotników, których nieokrzesana powierzchowność pogardę w nas wzbu-

dza, a którzy jednak pierwsi zasilają poniżającą ich dumę.

— Gdzie prowadzi ta ponura galerya, którą z lewej strony spostrzegam? — spyta się Kalenus; — w ciemności, która nas otacza, zdawałoby się, że to jest droga do piekieł.

— Przeciwnie—odpowiedział niedbale Arbaces —jest to droga do miejsc przyjemniejszych nad piekła; my zaś w przeciwną udamy się stronę.

— Rozkoszny Glaukus będzie miał jutro równie wilgotne, chociaż nierównie szczuplejsze mieszkanie — rzekł Kalenus, właśnie gdy przechodzili około ukrytej w kącie arkady Tessalianki.

— Tak jest, ale za to dniem później dostanie dość obszerne i suche w szrankach Amfiteatru mieszkanie. Jak mi dziwno, gdy pomyślę — rzekł dalej Arbaces tonem zastanowienia, że jedno twe słowo mogłoby go ocalić a wtrącić Arbacesa w przepaść, w której on dzisiaj tonie.

— To słowo nigdy nie zostanie wyrzeczone —powiedział Kalenus.

— Masz słuszność, mój przyjacielu — rzekł Arbaces, opierając się poufale na ramieniu kapłana; — nikt go już nie usłyszy na świecie... Lecz oto drzwi.

Drgające płomienie lampy oświeciły drzwi głęboko osadzone w murze, i silnie okute żelaznemi sztabami. Arbaces wyjął z za pasa pęk małych, lecz silnych kluczów. Ach! jak drżało chciwe serce Kalena, gdy widział, że już otworzyć się miały drzwi, za któremi tak niezmierzone mieściły się skarby.

— Wejdź, mój przyjacielu— rzekł Arbaces;—ja tymczasem podniosę lampy, abyś wzrok ucieszył widokiem klejnotów i złota.

Niecierpliwy Kalenus nie czekał drugiego wezwania i śpiesznie zbliżył się do drzwi; lecz gdy tylko przestąpił próg, wnet silną ręką Arbacesa został naprzód popchnięty.

— *Słowo nigdy nie zostanie wyrzeczone!* — zawołał Arbaces, śmiejąc się gwałtownie i zamykając drzwi za kapłanem.

Kalenus został strącony z kilku stopni wschodów, lecz w pierwszej chwili nie uczuł nawet boleści potłuczenia się, i nagle zbliżył się znowu do drzwi, a bijąc je ściśnionemi pięściami, wołał z tak przerażającą rozpaczą, że głos jego podobniejszym był do ryku dzikiego zwierzęcia, niż do dźwięków ludzkiej istoty:

— Ach! wypuść mię, wypuść! a już więcej nie będę domagać się złota.

Wzgardliwie rozśmiał się raz drugi Arbaces. Potem, puszczając wodze długo tłumionej namiętności, silnie we drzwi uderzył nogą i zawołał:

— Kęsa chleba nie dostaniesz za całe złoto Dalmacyi. Umieraj, nędzniku! nawet echo nie powtórzy ostatnich jęków skonu twojego i nikt nigdy wiedzieć nie będzie, że umarł, własne pożerając ciało, ten, co śmiał grozić i mógł zgubić Arbacesa z Egiptu!... Bywaj zdrów!

— Ach litości! miłosierdzia!... Nieludzki złoczyńco. Czyliż dlatego...

Arbaces nie usłyszał końca zaczętej myśli, krzyki jednak nieszczęśliwego Kalena, chociaż przytłumione grubością przedzielającej go ściany, jeszcze uderzały słuch jego. Zatrzymał się na chwilę, przysłuchując się bacznie, i rzekł:

— To źle bardzo!... mój projekt odjazdu musi być odłożony aż do czasu, gdy głos ten umilknie na wieki. Wprawdzie skarby moje są w innem skrzydle sklepienia; lecz ten krzyk usłyszany być może, gdy przenosić je będą moi niewolnicy... Czego się jednak obawiam?... za trzy dni, jeżeli żyć jeszcze będzie Kalenus, jego jęki tak będą słabe, iż, na brodę ojca! nikt ich już usłyszeć nie zdoła! Na Izydę, jak zimno! muszę wychylić czarę korzennego Falernu.

Po tych słowach, wolny od wyrzutów sumienia, Egipcyanin obwinął się starannie swą szatą i wyszedł na świeższe powietrze.

ROZDZIAŁ XIV.

Nidya przemawia do Kalena.

Jakież wyrazy trwogi a razem nadziei uderzyły słuch Nidyi! Nazajutrz Glaukus miał być skazany na śmierć; lecz jeszcze żył człowiek, który go mógł ocalić, wyjawić, że Arbaces był sprawcą zarzucanej mu zbrodni, a człowiek ten oddychał o kilka kroków od miejsca, w którem była ukrytą. Słyszała jego żale, krzyki, narzekania i modły, chociaż te w stłumionych tylko dźwiękach dolatywały jej uszu. Był wprawdzie jeńcem, lecz znała tajemnicę jego uwięzienia; gdyby tylko mogła dostać się do Pretora, może jeszcze pora nie byłaby spóźnioną, aby Kalenus został uwolnionym, i ocalił Ateńczyka. Wzruszenie przerwało prawie jej oddychanie; zaledwie nie postradała rozumu; gwałtownem jednak usiłowaniem zdołała powrócić do przytomności, a gdy znikły w oddaleniu kroki Arbacesa i dobrze upewnioną została, że w miejscu tem nikt nie dzielił jej samotności, przywlokła się do drzwi, za któremi był uwięziony Kalenus. Wołała nań po trzykroć, ale głos jej nie przedarł się przez grubą zaporę. Znalazłszy w końcu

otwór od klucza, przyłożyła usta i więzień usłyszał wyraźnie imię swoje, wymówione łagodnym głosem.

Krew jego zlodowaciała, włosy powstały na głowie. Chyba tylko nadprzyrodzona istota dostać się mogła w to okropne ustronie.

— Kto tam?—ozwał się nową przejęty trwogą; —jakie widmo, jaka mara wyrzekła imię nieszczęsnego Kalena?

— Kapłanie—odpowiedziała Tessalianka;—Arbaces nie wie, że, z dopuszczenia bogów, byłam świadkiem jego przewrotności. Jeżeli sama potrafię wymknąć się z tych murów, zostaniesz może ocalony. Lecz zbliż usta do tego otworu, abym głos twój mogła usłyszeć i odpowiadaj na zapytania moje.

— O, błogi duchu!—powiedział kapłan, wykonywając z radością ten rozkaz;—wybaw mię, a opłacę to dobrodziejstwo, choćbym miał sprzedać święte czary ołtarza.

— Nie chcę twojego złota, lecz potrzeba, abyś wyjawił mi tajemnicę. Czyliżem dobrze słyszała? Czy możesz oczyścić Glauka z zarzutu grożącego mu śmiercią?

— Mogę, mogę!... Dlatego to podły Arbaces, o gdyby jędze wiecznie dręczyły jego duszę! zamknął mię tutaj, abym umarł z głodu.

— Ateńczyk jest oskarżony o morderstwo; czy jesteś w stanie dowieść jego niewinności?

— Uwolnij mię tylko, a nie będzie w Pompei tak bezpiecznej głowy, jak jego. Sam widziałem spełnienie zbrodni; w moich oczach Arbaces ugodził

ciosem śmiertelnym Apaecidesa; za mojem pośrednictwem potępią prawdziwego mordercę, a Glaukus zostanie uniewinniony. Lecz jeżeli umrę, on także zginie. Czy cię los jego obchodzi? O, błoga istoto! pomnij, że serce moje jest urną, w której się zawiera wyrok jego przeznaczenia!

— A czy wyjawisz bez ogródek wszystko co wiesz?

— Tak jest, chociażbym widział otwarte piekło przed mojemi nogami. Zemsta dla przewrotnego Egipcyanina... Zemsta! zemsta! zemsta!

Kalenus powtarzał to słowo, zgrzytając zębami, a Nidya pojęła, że wściekła jego nienawiść była najpewniejszą rękojmią ocalenia Ateńczyka; serce je biło gwałtownie. Czyż będzie tak szczęśliwą, aby przedmiot jej uwielbienia winien był życie jej usiłowaniom?

— Dosyć na tem—rzekła—bogowie, którzy mię tu przywiedli, pozwolą, abym wszystkie zwyciężyła przeszkody. Tak jest, przeczuwam, że go ocalę. Czekaj z cierpliwością i nadzieją.

— Lecz nadewszystko bądź roztropną. Nie usiłuj rozczulić Arbacesa; serce jego z marmuru. Udaj się do Pretora, powiedz mu wszystko; wyjednaj rozkaz zwiedzenia domu; przyprowadź żołnierzy. Czas krótki... mogę umrzeć z głodu... z głodu! jeżeli się nie pośpieszysz! Idź... idź! albo nie, wstrzymaj się... Jak okropnie być samym... Powietrze grobowe... jadowite gady... Ach! i blade widma!... Czekaj, czekaj!

— Własne twoje dobro wymaga, abym odeszła

rzekła Nidya, przerażona trwogą kapłana;—niech towarzyszką twoją będzie nadzieja... Bywaj zdrów!

To rzekłszy, ostrożnie i omackiem zbliżyła się do przeciwnego końca podziemnego sklepienia. Zatrzymała się jednak przy wyjściu na otwarte powietrze, pojąwszy, iż aby oddalić się niespostrzeżoną, należało czekać, aż cały dom pogrąży się we śnie głębokim. Położyła się więc raz jeszcze na ziemi i liczyła upływające chwile. W jej sercu jednak radość nad wszelkiem przemagała uczuciem. Życie Glauka było w niebezpieczeństwie... lecz ona go ocali.

ROZDZIAŁ XV.

Arbaces i Jona—Nidya dostaje się do ogrodu.— Czy ucieknie i czy ocali Ateńczyka?

Gdy Arbaces wychylił kilka czar wonnego i korzennego wina, uczuł się weselszym, a tryumfująca radość opanowała jego serce. Powodzenie głęboko osnowanego planu, wznieca słodką dumę, wtenczas nawet gdy cel jego zbrodniczy. Próżność wrodzonego nam charakteru szuka upodobania w uczuciu naszej wyższości; okropność zaś wyrzutów sumienia zazwyczaj udręcza już po czasie.

Lecz nie można przypuścić, aby Arbaces mógł kiedy doświadczać zgryzot sumienia, za występek skrócenia dni nikczemnego Kalena; tymczasem oddalił od siebie wszelką myśl cierpień i śmierci okrutnej kapłana. Pomniał tylko, iż wybawił się z wielkiego niebezpieczeństwa i że zapewnił sobie milczenie nieprzyjaciela. Zostawało teraz usprawiedliwić przed kapłanami Izydy zniknięcie ich towarzysza, w czem nie widział wielkich trudności. Nieraz mu już powierzał religijne zlecenia do miast pobliskich. Zmyśli, że posłał go znowu z podobnem zleceniem, że

wyprawił ofiary na ołtarze Stabii i Neapolis, aby przebłagać gniew rozjątrzonej bogini za zabójstwo jej kapłana Apaecidesa. Skoro tylko umrze Kalenus, ciało jego, przed oddaleniem się z Pompei, zatopi w głębokich nurtach Sarnu; jeżeli zaś zostanie z nich wydobytym, podejrzenie dotknie najpewniej bezbożnych Nazarejczyków, których zemście za śmierć Olinta w szrankach Amfiteatru zabójstwo jego przypisane zostanie. Po obmyśleniu tych planów, Arbaces oddalił od siebie wszelką pamięć nieszczęśliwego kapłana, a zachęcony powodzeniem wszystkich jego zamysłów, całą myśl obrócił ku Jonie. Gdy ją po raz ostatni oglądał, wygnała go od niej dotkliwa wzgarda, której duma jego znieść mu nie pozwoliła. W tej chwili powziął odwagę odwiedzenia jej znowu, bo był zaślepiony władnącą nim namiętnością i nie miał siły oparcia się żądzy widzenia swej ulubionej. Przez wzgląd na jej boleść, pozostał w ciemnej szacie, którą miał na sobie; odświeżył jednak wonności i ułożył jaknajpowabniej fałdy swej tuniki. Piękna wychowanica jego siedziała przed stołem, z opartą głową na ręku, pogrążona w rozmyślaniach. Ale rysy jej nie miały zwykłego wyrazu; usta były w pół otwarte, spojrzenie czcze i niepewne, a długie czarne włosy, rozrzucone po szyi w nieładzie, dodawały bladości twarzy, z której już znikać zaczynała okrągłość zarysów.

Arbaces przypatrywał się jej, stojąc u drzwi czas niejaki. Ona także podniosła oczy, a gdy go poznała, zamknęła je z wyrazem boleści, żadnego jednak nie czyniąc poruszenia.

— Ach! zawołał Arbaces, zbliżając się z pokorą, i siadając w pewnej odległości od stołu,—gdyby śmierć moja mogła rozbroić twoją nienawiść, z jakążbym umarł radością! Jesteś niesprawiedliwą; wszystkobym jednak zniósł bez szemrania, gdybym cię czasem mógł tylko oglądać. Obarcz mię gniewem, wzgardą, wszelkie przeniosę cierpienia. Najokrutniejsze wyrazy z ust twoich stokroć słodsze są dla mnie od dźwięków najrozkoszniejszej lutni! Gdy ty milczysz, zdaje mi się, że świat zatrzymał się w biegu, że skrzepła krew w żyłach ziemi; niema życia bez światła twoich oczu i dźwięków głosu twojego.

— Oddaj mi brata i małżonka,—ozwie się Jona cichym i błagającym głosem, a obfite łzy mimowolnie spływały po jej twarzy.

— O, gdybym mógł wskrzesić jednego i wyratować drugiego! odpowie Arbaces, udając rozczulenie. Tak jest, dla szczęścia twojego wyrzekłbym się miłości i sam oddałbym twą rękę Ateńczykowi. Być może, iż sprawa rozwiąże się jego uwolnieniem! (Arbaces czuwał, aby się nie dowiedziała, że sprawa była już rozpoczętą) a wtenczas własna wola twoja uniewinni go lub potępi. Nie mniemaj także, Jono, abym chciał dłużej prześladować cię moją miłością; wiem, iż tobym czynił napróżno. Pozwól mi tylko płakać wraz z tobą. Przebacz gwałtowności, nad którą sam ubolewam, a której więcej się nie dopuszczę. Chcę być tem tylko dla ciebie, czem byłem dawniej: przyjacielem, ojcem, opiekunem. Ach! Jono, miej litość nademną i przebacz mi!

— O! przebaczam; ocal tylko życie Glauka, a nawet się go wyrzeknę. Potężny Arbacesie! znaną mi władza twoja tak w złem, jak w dobrem. Uratuj Ateńczyka, a nieszczęśliwa Jona przyrzeknie, iż go więcej nie ujrzy.

To mówiąc, zbliżyła się słabym krokiem, upadła do nóg i objęła jego kolana.

— Ach! jeżeli mię kochasz prawdziwie, jeżeli ludzką jesteś istotą, wspomnij na popioły ojca mojego, na moje dzieciństwo, na chwile szczęścia, któreśmy razem spędzili; wybaw mojego Glauka!

Konwulsyjne poruszenia miotały członkami Egipcyanina; rysy jego przybrały piętno okropnego wzruszenia, odwrócił twarz i rzekł głosem chrapliwym:

— Gdybym go mógł jeszcze ocalić, uczyniłbym to, lecz surowość praw Rzymu jest niezachwianą. Jednakże, gdybym go mógł uratować, czy chciałabyś do mnie należeć... zostać moją małżonką?

— Twoją? powtórzyła Jona, wstając, twoją małżonką! gdy krew brata mojego nie jest jeszcze pomszczoną; kto go zamordował? O! Nemezis! mogęż zaprzedać, nawet dla okupienia krwi Glauka, święty zakład, któryś złożyła w me ręce? Arbacesie... twoją! nigdy!

— Jono, Jono! — zawoła Arbaces tonem namiętnym; — co znaczą te tajemnicze słowa? dlaczego imię moje jednoczysz z myślą o śmierci brata?

— Jednoczą je sny moje... a te pochodzą od bogów.

— Próżne ułudzenie! Czyż chciałabyś dla snu

zaszkodzić niewinnemu i narazić nadzieję ocalenia życia kochanka?

— Słuchaj mię, — powie Jona pewnym i uroczystym głosem; jeżeli ocalisz Glauka, ślubuję, że nigdy jako małżonka nie wejdę do jego domu; lecz nie zdołam przyzwyciężyć wstrętu do innych związków i nie mogę cię poślubić. Nie przerywaj mi, i zważaj bacznie na moje słowa. Jeżeli Glaukus zginie, tegoż dnia omylę wszystkie twoje zabiegi i miłości twej zostawię tylko popioły! Tak jest... wiem, że oddalisz odemnie truciznę i żelazo; uwięzisz mię, ale odważna dusza zawsze wynajdzie środek rozłączenia się z ciałem. Te ręce bezbronne i nagie potrafią rozerwać więzy, które łączą mię z życiem. Jeżeli skrępujesz je okowami, usta moje zamkną się i nie przyjmą powietrza. Jesteś uczony, wiesz z książek, jak kobiety umiały umrzeć, gdy chciały uniknąć niesławy. Jeżeli Glaukus zginie, nie będę tak niegodną, abym go przeżyła. Na wszystkich bogów Nieba, Oceanu i Ziemi, poświęcam się śmierci!... rzekłam!

Szlachetna duma w postawie i głosie Jony zdawała się przydawać jej wzrostu, jak istocie natchnionej. Arbaces słuchał jej mowy z uszanowaniem i przestrachem.

— Szlachetne serce! — rzekł po krótkim przestanku, — ty musisz być mojem. O, czemuż szukając tak długo istoty godnej podzielić wysokie przeznaczenie moje, w tobie ją dopiero znalazłem! Jono, czyż nie widzisz, żeśmy dla siebie zrodzeni? czy w wyniosłej i niepodległej duszy mojej nie upatrujesz

współczucia i podobieństwa z własną swoją energią, z własną odwagą? Ja i ty odebraliśmy życie dla zjednoczenia dusz naszych, dla ożywienia nowym duchem tego grubego i zużytego świata, dla spełnienia nakoniec wielkich przeznaczeń, które przedzierająca się przez pomrok przyszłości dusza moja widzi przed sobą w proroczem natchnieniu. Z podobną twojej śmiałością, nie zatrważam się pogróżkami haniebnego samobójstwa. Witam cię, jak moją małżonkę, jak królową nowych krajów, których dawne nie skaziły zwyczaje; *zginam się przed tobą* i składam ci hołd pełen uszanowania; lecz *wymagam*, abyś dzieliła cześć moją i miłość! Razem przepłyniemy morza, razem nowe założymy królestwo, a długi ciąg wieków ulegać będzie władzy potomków Arbacesa i Jony.

— Mówisz, jak obłąkany! te tajemnicze wykrzyknienia, godne ust schorzałej kuglarki sprzedającej talizmany na targu, nie przystoją mądremu Arbacesowi. Słyszałeś moje postanowienie; jest ono tak niecofnione, jak przeznaczenie. Orkus przyjął przysięgę moją, a Pluton zapisał ją w swojej księdze. Staraj się więc wynagrodzić przeszłość; niech w sercu twojem litość zajmie miejsce nienawiści, a wdzięczność zemsty. Wybaw człowieka, który nigdy nie będzie twoim współzalotnikiem. Będą to czyny godne pierwotnego i szlachetniejszego przyrodzenia twojego. Czyny takie przeważają szalę królów śmierci w chwili, gdy dusza przyjęta trwogą czeka wyroku między Tartarem i ogrodami Elizejskiemi, w obecnem zaś życiu stokroć słodszą przejmują serce rozkoszą, niż dary

znikomej miłości. O Arbacesie, wysłuchaj mię i chciej przekonać się!

— Dobrze. Wszystko, co można, uczynię; lecz nie miej do mnie żalu, gdy skutek zawiedzie usiłowania moje. Spytaj się samych nawet nieprzyjaciół moich, czym już nie usiłował, czy jeszcze usiłować nie będę odwrócić od głowy Glauka grożącego mu wyroku. Staraj się wypocząć. Noc nadchodzi, zostawiam cię i błagam bogów, abyś miała sny przychylniejsze mojej miłości.

Arbaces oddalił się śpiesznie, nie czekając na odpowiedź; zdaje się, iż nie chciał wystawiać się dłużej na błagania namiętne Jony, które w sercu jego wzniecały litość, szarpiąc je zarazem zazdrością. Lecz litość już była niewczesną. Gdyby nawet Jona przyrzekła mu rękę w nagrodę, nie mógłby ocalić Glauka, skoro już raz uczynił zeznanie i gniew pospólstwa obudził. Tymczasem nie tracił nadziei w pomyślniejsze przyszłości koleje, i pochlebiał sobie że potrafi nareszcie odnieść tryumf nad kobietą, która w nim tak gwałtowną obudziła namiętność.

Gdy na noc rozbierali go niewolnicy, nagle przypomniał sobie Nidyę. Przyszło mu razem na myśl, jak ważną było rzeczą, aby Jona nie dowiedziała się o obłąkaniu Glauka, ta bowiem okoliczność usprawiedliwiłaby w jej mniemaniu zarzucony mu występek; a że usługujące jej kobiety zawiadomić ją mogły o obecności Nidyi w tym domu, rzekł więc do jednego ze swych wyzwoleńców.

— Kaliaszu, idź natychmiast do Sozyi i powiedz

mu, aby pod żadnym pozorem nie wypuszczał Nidyi z jej izby. Lecz czekaj; zaleć pierwej usługującym mojej wychowanicy kobietom, aby nie ważyły się mówić jej, że ta młoda niewolnica znajduje się w moim domu..... Idź! prędko!

Niewolnik, objawiwszy ten rozkaz kobietom Jony, udał się do godnego Sozyi; lecz nie znajdując go w małem jego *cubiculum*, zawołał nań głośno, a ten odpowiedział mu z izby Nidyi.

— O Kaliaszu! ciebież to słyszę? Otwórz drzwi; proszę.

Wyzwoleniec odsunął zaporę i spostrzegł przed sobą zmieszaną twarz Sozyi.

— Cóż to! Sozyo, tyś był w izbie tej młodej dziewczyny! *Proh pudor*! Czyż ci niedość dojrzałych owoców, abyś jeszcze chciał zrywać zielone?

— Nie mów mi o tej małej czarownicy;—przerwie Sozya zniecierpliwiony, ona zguby mojej będzie przyczyną.

Opowiedział potem Kaliaszowi historyę powietrznego czarta i ucieczkę Tessalianki.

— Powieś się, nieszczęsny Sozyo; przychodzę bowiem do ciebie z rozkazem Arbacesa, abyś jej nie pozwalał wyjść z izby pod żadnym pozorem

— *Me miserum*! — zawoła niewolnik; — co czynić? Od czasu jak wyszła, mogła już połowę przebiedz Pompei. Lecz jutro podejmuję się ją wynaleźć. Dochowaj mi tylko tajemnicy, kochany Kaliaszu.

— Uczynię wszystko, co może przyjaźń i na co pozwoli własne bezpieczeństwo moje. Lecz czyś pew-

ny, że wyszła z domu?... Może się tu jeszcze ukrywa w blizkości.

— Nic łatwiejszego jak dostać się do ogrodu a mówiłem ci, że drzwi były otwarte

— Nie, gdyż w godzinie, którą wymieniłeś, Arbaces był w ogrodzie z kapłanem. Ja także zbierałem zioła na kąpiel jutrzejszą mojego pana. Widziałem wprawdzie stół z owocami, ale drzwi były zamknięte, bo Kalenus wszedł przez ogród i zamknął je za sobą.

— Ale nie były zamknięte na klucz.

— Przeciwnie; widząc bowiem, że rzeźby spiżowe peristylu skradzione być mogły, sam je zamknąłem i klucz zachowałem przy sobie..... patrz, oto jest przy moim pasie.

— O, dobry Bachusie! tyś wysłuchał moich modłów. Nie traćmy ani chwili! Udajmy się do ogrodu, ona się tam może jeszcze znajduje!

Usłużny Kaliasz zgodził się towarzyszyć niewolnikowi, a zwiedziwszy napróżno pobliskie izby i nisze peristylu, udał się z Sozyą do ogrodu.

W tej właśnie chwili Nidya postanowiła nakoniec wyjść ze swej kryjówki. Szła drżącym lekkim krokiem, wstrzymując oddech, który co chwila przedzierał się przez jej konwulsyjne usiłowania; przesunęła się między kolumny otaczające peristyl, cień jej potem zasłonił promienie księżyca na posadzce mozaikowej; weszła na taras ogrodu, przedarła się przez skupione drzew gałęzie i zbliżyła się do drzwi zło-

wieszczych..... zamknięte!... Jak wystawić okropną rozpacz malującą się na twarzy Tessalianki? Jej małe ręce przebiegały bez przerwy nieubłaganą zaporę. Biedna istoto! szlachetna twoja odwaga, niewinne podejścia, wszystkie zabiegi, aby jak pierzchliwa łania umknąć przed pogonią psów i myśliwych, spełzły na niczem! Nie widzisz jeszcze okrutników, którzy o dziesięć kroków naśmiewają się z twych usiłowań, z twej rozpaczy, wiedząc, że nie możesz im umknąć, i sposobiąc się do pochwycenia zdobyczy.

— Ciszej! Kaliaszu. Zobaczmy, co uczyni, gdy przekona się, że drzwi wyłamać nie można.

— Patrz!... wznosi czoło ku niebu... wymawia cicho jakieś wyrazy... upada z rozpaczy. Nie!... na Polluxa! jeszcze ma jakiś zamiar! co za wytrwałość! Patrz!.... podnosi się.... powraca... innego chce się chwycić sposobu. Radzę ci, Sozyo, nie czekaj dłużej: przytrzymaj ją nim opuści ogród.... teraz....

— Ach! zbiegu! mam cię!... zawoła Sozya, chwytając nieszczęsną Nidyę.

Czyś słyszał ostatni krzyk zająca, którego psy pochwyciły, albo jęk przenikliwy lunatyka, gdy nagle przebudzonym zostanie? Tak krzyknęła młoda niewidoma, uczuwszy dotknięcie ręki swojego stróża. Ten krzyk taką odznaczał się boleścią, tak był pełen gorzkiej rozpaczy, że pozostał na zawsze w pamięci tych, którzy go usłyszeli. Nidya pojęła, że ostatnia nadzieja ocalenia znikła dla konającego Glauka. Życie ze śmiercią wiodło walkę; śmierć zwyciężyła.

— Bogowie! ten krzyk poruszy dom cały, rzecze Kaliasz. Arbaces taki lekki ma sen. Zawiąż jej usta.

— Dobrze mówisz! oto właśnie serweta, za któréj pomocą młoda czarownica pozbawiła mię rozumu. Patrz; już teraz tak jest niemą, jak ślepą.

Sozya wziął ją na ręce i odniósł do izby. Odwiązawszy potem serwetę, zostawił Nidyę pożeraną męczarniami, nad które piekła nic sroższego wynaleźć nie mogły.

ROZDZIAŁ XVI.

Jaką litość czuć zwykli w nieszczęściu naszem towarzysze światowych uciech. — Więzienie i więźniowie.

Kończył się trzeci i ostatni dzień procesu Glauka i Olinta. W kilka godzin po zapadnięciu wyroku, światowa młodzież Pompei była zgromadzona około stołu Lepida, zbytkowną ucztą zastawionego.

— Więc Glaukus nie wyznał swej zbrodni? — spytał się Klaudyusz.

— Tak jest, lecz świadectwo Arbacesa było niezaprzeczone; on widział, jak cios śmiertelny został ugodzony — odpowiedział Lepidus.

— Lecz co go skłonić mogło do podobnego występku?

— Kapłan miał ponury i dziki charakter. Być może, iż surowo upominał Glauka za jego rozwiązłe życie, za namiętność do gry... i że nakoniec odmówił stanowczo zezwolenia na jego małżeństwo z siostrą. Musieli się pokłócić, a Glaukus, upojony winem, uderzył go zapewne w przystępie gwałtownego uniesienia. Skutki wina, połączone z wyrzutami sumienia, wprawiły go w obłąkanie, które trwało dni kilka,

i mniemam, że właśnie dlatego nieszczęśliwy Ateńczyk sam dotąd nie wie o popełnionej przez siebie zbrodni! Tak przynajmniej myśli Arbaces, który w zeznaniach swoich zachował wszelkie względy i ludzkość.

— Ach! tem postępowaniem nabył on rzetelnej pomiędzy ludem wziętości. Lecz przez wzgląd na tak łagodzące okoliczności, winienby Senat mniej okazać się surowym.

— Gdyby nie głośne nastawanie pospólstwa, nie wątpię, iż mniej surowy wydałby wyrok. Lud rozjątrzyli kapłani, mniemając, że bogactwa i szlachetne urodzenie Glauka zasłonią go od zasłużonej kary. Senat nie śmiał odmówić pozbawienia go praw obywatelskich i skazania na śmierć, chociaż zaledwie wyrok ustaliła większość trzech tylko głosów: Hola! podać to wino Chio.

— Zmienił się on bardzo; lecz jak ma spokojne i nieustraszone oblicze!

— Tak jest, zobaczymy tylko, czy stałość ta dzień jutrzejszy przeżyje. Wreszcie, odwaga nie jest już żadną zaletą, gdy Olint, ten pies bezbożny, zarówno ją okazuje.

— Bluźnierca!—zawołał Lepidus uniesiony pobożnym gniewem; dziwić się nie należy, że przed kilkoma dniami piorun zabił jednego z Dekuryonów, chociaż żadnej chmury nie było na niebie *); bogowie

*) Pliniusz powiada, że przed wybuchem Wezuwiusza, jeden z Dekuryonów municypalnych został ugodzony piorunem w czasie zupełnie pogodnego nieba.

są rozjątrzeni na Pompeję za to, że bezbożnika takiego w murach swych zachowuje.

— A jednak Senat tak był dla niego łaskawy, że gdyby tylko okazał skruchę i zgodził się garstkę kadzidła rzucić na ołtarz Cybeli, otrzymałby przebaczenie. Gdyby Nazarejczykowie panowali nad nami, wątpię, czy doznalibyśmy od nich takiego pobłażania za występek wywrócenia posągu ich boga, złorzeczenia na ich obrzędy, i zaprzeczenia ich wiary.

— Ze względu na okoliczności łagodzące występek, udzielono Glaukowi jeden środek ratunku; wolno mu walkę zwieść ze lwem tym samym stylem, którym zadał śmiertelny cios kapłanowi.

— Czyś widział lwa? czyś przypatrzył się jego zębom i szponom? Gdybyś to uczynił, nie nazywałbyś tego środkiem ratunku! Z takim potworem, miecz nawet z pancerzem tyleby znaczył co trzcina papyru! Mojem zdaniem tę tylko dla Glauka okazano łaskawość, iż nie będzie długo na swój los oczekiwał. Szczęściem jest w samej rzeczy dla niego, że prawa nasze, tak powolne w wyrokach, tak rychłego wymagają ich wykonania, i że igrzyska Amfiteatru, jakby wdaniem się opatrzności, na dzień jutrzejszy oddawna przeznaczone zostały. Dwa razy umiera, kto długo oczekuje na śmierć!

— Co do Ateusza—rzecze Klaudyusz, ten walczyć musi z tygrysem bez broni. Szkoda, że o podobne walki nie można się zakładać! Możeby jednak który z was miał do tego ochotę!

Zgromadzenie z wielkim śmiechem przyjęło to zapytanie.

— Biedny Klaudyusz!—rzekł gospodarz domu— nietylko traci przyjaciela, lecz nadto większe we dwójnasób spotyka go nieszczęście, iż nikt o życie jego założyć się z nim nie chce.

— Przykra to rzecz w istocie; dla niego i dla mnie byłoby niemałą pociechą, gdyby mógł mi być użytecznym aż do ostatniej chwili.

— Wypadek procesu — rzekł poważnie Pansa, przejął lud najwyższą radością; — już zaczynał tracić nadzieję widoku walki zdrodniarzy ze zwierzętami w czasie igrzysk Amfiteatru! tymczasem aż dwóch, i to jeszcze tak ważnych, zesłały mu nieba. Słuszna rzecz bardzo, aby się nieco pobawili ci biedni ludzie, którzy tak zawsze pracują.

— Ta mowa godna zacnego Pansy, któremu zawsze towarzyszy orszak klientów tak długi, jak tryumf indyjski. W jego ustach zawsze dobro ludu. Bogowie! staniesz się w końcu Grachem

— Nie jestem w samej rzeczy dumnym arystokratą — rzecze Pansa z miną wspaniałą.

— Wyznać należy — powiedział Lepidus — iż niebardzo bezpiecznie okazywać się wspaniałym w dzień uprzedzający potyczkę zwierząt. Jeżeli kiedykolwiek obwinionym zostanę, błagać będę Jowisza, aby nie było zwierząt w *vivarium*, albo żeby w więzieniach nie zbywało na zbrodniarzach.

— Czy nie wiecie — spytał się jeden z biesiadników — gdzie się podziała biedna dziewczyna, którą Glaukus miał zaślubić? Być wdową przed ślubem! .. to zbyt okropnie!

— Udała się do Arbacesa, który jest jej opiekunem — odpowiedział Klaudyusz. — Straciwszy kochanka i brata, u niego koniecznie szukać musiała schronienia.

— Jaki ten Glaukus był szczęśliwym do kobiet! Powiadają, że bogata Julia gwałtownie się w nim kochała.

— To bajka, przyjacielu — rzekł Klaudyusz z miną zarozumiałą. — Widziałem ją dziś jeszcze. Jeżeli kiedykolwiek podobnego doznawała uczucia, pochlebiam sobie, żem już ją pocieszył.

— Czyż nie wiecie, że Klaudyusz z całą siłą rozdyma pochodnię u Dyomeda? Już zaczyna się palić i rychło żywym blaskiem oświeci ołtarz Hymena.

— Jakto! — zawołał Lepidus — Klaudyusz miałby się w samej rzeczy ożenić!.. To być nie może!

— Uspokójcie się—odpowiedział Klaudyusz;— stary Dyomed nie posiada się z radości, że córkę wyda może za Patrycyusza; nie pożałuje sesterców, a ja pewnie nie zamknę ich w *atrium*. Dla przyjaciół Klaudyusza błogi to będzie dzień, w którym zaślubi bogatą dziedziczkę.

— Jeżeli tak — zawołał Lepidus — wypijmy pełną czarę za zdrowie pięknej Julii.

Podczas tej rozmowy modnej młodzieży ówczesnej, rozmowy, której zbliżone odcienie upatrzyćby można przed stu laty w tonie towarzystw Paryża, a która odbywała się w świetnem *triclinium* Lepidusa, scena zupełnie odmienna otaczała młodego Ateńczyka.

Glaukus, po zapadnięciu wyroku, nie mógł już zostawać dłużej pod łagodną strażą Sallustyusza, jedynego przyjaciela w nieszczęściu; przyprowadzono go, otoczonego żołnierzami, do małych drzwi obok świątyni Jowisza. Można jeszcze widzieć to miejsce. Drzwi otwierały się do środka, okręcając się na zawiasach, tak, iż zawsze połowa tylko progu otwarta być mogła. Przez ten ciasny otwór wprowadzono więźnia, położono przed nim bułkę chleba i dzban wody, poczem zostawiono go w ciemności bez żadnego, jak mu się zdawało, towarzystwa. Zepchnięty nagłą przemianą losu ze szczytu szczęścia w przepaść najokropniejszej kolei, skazany na śmierć sromotną i krwawą, zaledwie mógł uwierzyć, iż całe to położenie było rzeczywistością a nie snem ciężkim. Doskonałe zdrowie pokonało skutki zatrutego napoju, którego szczęściem wypił bardzo niewielką ilość. Jego rozum i zmysły już były uspokojone, ale głuche cierpienie, złączone z ponurą smętnością, przytępiało umysł i czucie. Wrodzona odwaga i grecka duma nadały mu siłę potrzebną do pokonania wszelkiej niegodnej jego bojaźni; z pewną postawą, z nieustraszonem okiem, wobec trybunału wysłuchał treści okrutnego wyroku. Ale, gdy wzrok ludzki nie podniecał jego szlachetnej dumy, gdy otoczyły go milczenie i ciemność, zaledwie głębokie uczucie niewinności męztwo jego utrzymać mogło. Wilgotne wyziewy więzienia przejmowały dreszczem jego osłabione ciało. Ten Glaukus, taki delikatny, przywykły do rozkoszy życia, daleki od wszelkich zmartwień,

wszelkich doświadczeń losu!... ptak zbłąkany od rodzinnego słońca, dlaczego opuścił złote niebo swojej ojczyzny, oliwne gaje gór swoich, słodki szmer swych czarownych strumieni? Bogatą barwą pierza ćmił oczy tych nieużytych i niegościnnych cudzoziemców, słuch ich czarował radosnemi pieniami, a za to został ujęty, uwięziony w posępnej klatce, ma się stać ich ofiarą i łupem... Biedny Ateńczyk! same nawet wady jego były tylko skutkiem zbytniej szczerości i otwartości charakteru! Ach! jakże upłyniony zawód życia źle go usposobił do nadchodzącej kolei przeznaczenia! Jeszcze miał przed oczyma wyraz zimnej obojętności na twarzach dawnych przyjaciół, towarzyszów uciech światowych. Żaden z nich nie przyniósł mu słowa pociechy, żaden nie usiłował natchnąć męztwem cudzoziemca, będącego niegdyś przedmiotem ich uwielbienia i pochlebstw. Te mury miały tylko otwór na złowieszcze szranki, w których ponieść miał śmierć haniebną i srogą. A Jona!... i ta nie przysłała mu słowa pociechy, politowania, współczucia; opuściła go także, bo go ma za winnego, i to jeszcze śmierci swojego brata! Zgrzytnął zębami, wydał głośny jęk, a umysłem jego zaczynała władać bojaźń okropna: jeśliby w samej rzeczy, w przystępie niepojętego obłąkania popełnił zbrodnię, którą mu zarzucano?... Lecz myśl tę odrzucał za każdym razem, bo chociaż nie mógł przedrzeć okrywającej przeszłość zasłony, przypominał sobie jednak, jakby przez mgłę, gaj Cybeli, twarz wybladłą kapłana, cios, od którego upadł na ziemię, i zatrzymanie się swoje

przy trupie. Nie wątpił, że był niewinnym, a jednak kto uwierzy tej niewinności, kto stanie w obronie jego honoru, gdy ślad istnienia jego pozostanie tylko w pamięci. Przypominając zajście swe z Arbacesem, pobudki do zemsty tego okropnego człowieka, nie wątpił, że padł ofiarą głęboko osnowanego spisku, którego jednak pasmo napróżno usiłował rozwikłać. Arbaces kochał Jonę; zapewne na zgubie jego zasadzał nadzieję swojej miłości... Ta myśl była dlań okrutniejszą nad wszystkie, a w szlachetnem sercu czuł więcej zazdrości, niż bojaźni. Wydał jęk znowu.

Głos w głębi ciemnego więzienia odpowiedział na ten okrzyk boleści:

— Kto jest towarzyszem moim w tej okropnej godzinie?... Ateńczyku, Glauku, tyżeś to?

— Tak mię nazywano w dniach szczęścia; A *twoje* imię?

— Olint, towarzysz twojej niewoli i kary.

— Kto?... ten, co go miano za ateusza? Czy niesprawiedliwość ludzi pozbawiła cię wiary w opatrzność bogów?

— Niestety! — odpowiedział Olint — nie ja, ale ty jesteś ateuszem, bo nie wierzysz w prawdziwego i jedynego Boga, któremu pobożni Ateńczycy wznosili niegdyś ołtarze. W tej to chwili znam Boga mojego, Jest ze mną w więzieniu; jego uśmiech przedziera się przez ciemności; dniem przed śmiercią przemawia do mnie o nieśmiertelności, a ziemia odda-

la się odemnie dlatego tylko, aby zbliżyć do Nieba znużoną duszę.

— Powiedz mi — przerwał nagle Glaukus — wszakże imie twoje wymawiano wraz z imieniem Apaecidesa, w biegu mojego procesu? Czy uważasz mię za winnego?

— Bóg tylko czyta w głębi serc ludzkich; lecz nie na ciebie padają podejrzenia moje.

— Na kogóż więc?

— Na twego oskarżyciela, Arbacesa.

— Ach! pocieszasz mnie... cóż rodzi w tobie tę myśl?

— Znam serce jego i wiem, że miał powody obawiać się tego, który już nie żyje.

Olint opowiedział przed Glaukiem szczegóły znane już czytelnikowi nawrócenia Apaecidesa, powziętego przezeń zamiaru wyjawienia kuglarstw kapłanów egipskich, i podstępów, których użył Arbaces dla uwiedzenia niedoświadczonej młodości nowego wyznawcy.

— Jeżeli więc — rzecze dalej Olint — Apaecides spotkał się przypadkiem z Arbacesem, jeżeli mu jego zdradę wyrzucał na oczy, jeżeli zagroził publicznem jego wyjawieniem, być może, iż gniew i chytrość Egipcyanina uzbroiły rękę jego w tak dogodnej chwili i miejscu.

— Wątpić niemożna, że wszystko tak w samej rzeczy się stało — zawołał Glaukus z radością. — Jakżem szczęśliwy!

— Na co ci się teraz przyda to odkrycie? Je-

steś już osądzony; nic nie cofnie twojego losu, i zginiesz pomimo niewinność twoją.

— Ale już *wiem*, żem niewinny; pomnąc na tajemnicze obłąkanie moje okropne, acz przemijające pożerały mię myśli. Lecz powiedz mi, wyznawco obcej wiary, czy być może, aby władza niebieska, jakiemkolwiek ją nazwiesz imieniem, miała nas opuścić na zawsze za małe uchybienia, i błędy naszych przodków.

— Bóg sprawiedliwy nie opuszcza swoich stworzeń za ludzką słomność; Bóg pełen miłosierdzia, potępia tych tylko, którzy nie żałują za grzechy.

— Zdaje mi się jednak, że w chwili gniewu Boskiego, zostałem uderzony niepojętem obłąkaniem, nadprzyrodzonem szaleństwem, którem władza ludzka nie mogła mię dotknąć.

— Jak Bóg i Syn Jego są w niebie, tak są złe duchy na ziemi — odpowiedział Nazarejczyk z okropnym wyrazem; — a ponieważ nie wyznajesz pierwszych, ci ostatni mogli mieć władzę nad tobą.

Nic na to nie odpowiedział Glaukus i nastąpiło kilka chwil milczenia. W końcu rzekł Ateńczyk głosem zmienionym i słabym:

— Chrześcianinie, czy uczą prawidła twojej wiary, że mają drugie życie umarli, że ci, co się tutaj kochali, są na tamtym świecie złączeni; że dusza nasza za grobem przedziera się przez śmiertelne mgły świata?

— Nie wierzę w to, Ateńczyku, nie; lecz jestem tego *pewny*! a ta błoga i czarowna pewność

odwagę moją utrzymuje w tej chwili. O, Cylleno!— rzecze dalej Olint tonem namiętnym—małżonko serca mojego! tyś mi wydartą została w pierwszym miesiącu połączenia naszego; lecz teraz ujrzę cię, i to za chwil niewiele! Przybywaj, dobroczynna śmierci, ty mi utorujesz drogę do Nieba i do niej!

Ta nagła oznaka czułości ludzkiej dotknęła najczulszej strony duszy Greka. Po raz pierwszy, dla towarzysza niedoli doznał większego współczucia niż to, jakie wznieca wspólność nieszczęścia.

— Tak jest — odezwał się dalej Chrześcianin z świętym zapałem; — nieśmiertelność duszy, zmartwychwstanie, połączenie umarłych, są to wielkie zasady naszej wiary, wielkie prawdy, które sam Bóg chciał objawić, i przyświadczył śmiercią swoją za ich rzetelność. Nie bajeczne to elizejskie ogrody, ale czysta i świetna dziedzina Nieba, zapewniona dla cnotliwych na wieki.

— Naucz mię swojej wiary i objaśnij swe nadzieje — rzekł szczerze wzruszeny Glaukus.

Skwapliwie uległ tej prośbie Olint, i, jak często bywało w pierwszych wiekach chrześciaństwa, *Ewangielia*, w ciemnościach więzienia i przy nadchodzącej śmierci, ukazała święte promienie prawd swoich.

ROZDZIAŁ XVII.

Nadzieja dla Glauka.

Godziny upływały z powolnością okrutnej męczarni dla Nidyi zamkniętej w izbie.

Sozya, nie chcąc wystawić się drugi raz na oszukanie, ukazał się zaledwie nazajutrz i to w spóźnionej godzinie poranku; a i wtenczas wniósł tylko kosz z żywnością i śpiesznie oddalił się, drzwi zamknąwszy za sobą. Upłynął dzień cały, dzień, w którym Glaukus miał być sądzonym; a ona była uwięzioną za nieubłaganą zaporą! Widząc jednak, że w niej tylko była cała nadzieja Glauka, powzięła niezłomne postanowienie nie poddawać się rozpaczy, któraby ją pozbawić mogła możności korzystania z szczęśliwego zdarzenia, jakkolwiek zdawała się niepodobną myśl wszelka ucieczki. W męczarniach okrutnych cierpień zachowała całą przytomność umysłu, a nawet jadła i piła, aby nie postradać sił i być *gotową na wszystko*!

Tworzyła coraz nowe zamysły ucieczki, lecz musiała wszystkich zaniechać. Tymczasem Sozya był całą jej nadzieją, jedynem narzędziem zbliżenia jej

do celu. Jakże okazał się łatwowiernym, gdy chciał dowiedzieć się, czy będzie kiedyś w stanie okupienia wolności! Wielcy bogowie! czyliby nie można przekupić go obietnicą tej wolności? Przecież tak była bogatą, że sama mogła za nią zapłacić! Jej delikatne ręce okryte były darowanemi przez Jonę naramiennikami i miała na szyi ów łańcuch, który był niegdyś powodem jej poróżnienia się z Glaukiem; oczekiwała więc z najżywszą niespokojnością powrotu Sozyi; lecz gdy nie przyszedł po upływie kilku godzin, zaczęła tracić cierpliwość. Opanowała ją prawdziwa gorączka; już prawie nie miała siły zniesienia dłużej samotności; jęczała, krzyczała. Krzyki jej boleści rozległy się po domu, a przelękniony Sozya przybiegł, aby ją uspokoić i nakazać milczenie.

— Ach! cóż to znaczy? — rzekł z gniewem, — młoda niewolnico, jeżeli nie przestaniesz krzyczeć, będziemy zmuszeni zawiązać ci usta. Niech tylko pan cię usłyszy, a odpowiedzą za to moje plecy.

— Dobry Sozyo, nie gniewaj się, nie mogę dłużej być samą. Przestrasza mię samotność. Zostań przy mnie, proszę cię o to. Nie bój się, abym uciekła. Możesz stołek przystawić do drzwi i mieć oczy na mnie zwrócone.. nawet nie poruszę się z miejsca.

Prośba ta wzruszyła Sozyę, zwłaszcza, iż był sam gadatliwym. Litował się nad kobietą, która nie miała z kim rozmawiać... prócz tego chciał i sobie sprawić tę niewinną rozrywkę. Przystawił więc stołek do drzwi, usiadł na nim i rzekł:

— Nie mogę ci tego odmówić, jeżeli chcesz tylko niewinnej rozmowy. Lecz unikaj bacznie złych figlów i czarów.

— Bądź spokojny, kochany Sozyo; ale powiedz mi, która godzina?

— Dzień już się kończy i kozy wracają do obory.

— O, bogowie! A co słychać o procesie?

— Obaj skazani na śmierć.

Nidya stłumiła krzyk boleści.

— Spodziewałam się tego, — rzekła, — kiedyż śmierć mają ponieść?

— Jutro, w Amfiteatrze; gdyby mi nie kazano strzedz ciebie, otrzymałbym pozwolenie udać się z innymi na to widowisko.

Nidya oparła się o ścianę; słabość przemogła siłę jej duszy; zemdlała. Sozya tego nie widział, bo prawie już się ściemniało i zbyt był zajęty smutną myślą, że nie ujrzy miłego widowiska. Rozwodził się nad swem cierpieniem i głośno narzekał na Arbacesa, że w tłumie domowników jego właśnie wybrał do straży uwięzionej dziewczyny; był jeszcze zaledwie w połowie swej mowy, a już Nidya odzyskała przytomność, głębokie wydając westchnienie.

— Wzdychasz nad mojem nieszczęściem. Jest to przynajmniej pociechą i już się nie będę uskarżać. Przykro bardzo być nieszczęśliwym i nie doznać politowania.

— Sozyo, ile ci brak do okupienia wolności?

— Ile?... około dwóch tysięcy sesterców.

— Niech będą pochwaleni bogowie! Czy widzisz te naramienniki i łańcuch. Wartość ich we dwójnasób przenosi tę kwotę. Oddam ci je, jeżeli...

— Nie usiłuj mię przekupić; ja ciebie nie mogę uwolnić; Arbaces jest panem surowym i srogim. Kto wie, czy ciało moje nie stałoby się pastwą ryb Sarnu? Niestety! sesterce świata całego nie okupiłyby raz straconego życia. Pies żyjący wart więcej niż lew nieżywy.

— Namyśl się, Sozyo; będziesz wolnym, jeżeli tylko na godzinę pozwolisz mi odejść! Wyjdę o północy, a powrócę przed świtem. Pozwolę nawet, abyś mi towarzyszył.

— Nie,—rzecze Sozya stale, — raz tylko jeden niewolnik był nieposłusznym Arbacesowi, a więcej nie usłyszeliśmy już o nim.

— Ale prawo nie daje panu władzy nad życiem swoich niewolników.

— Prawo jest zazwyczaj więcej grzeczne, niż skuteczne; wiadomo mi, że Arbaces zawsze umie mieć prawo za sobą. Wreszcie, jeżeli raz umrę, już mię prawo nie wskrzesi.

Nidya załamała ręce.

— Czyż już niema nadziei? — rzekła z konwulsyjnem wzruszeniem.

— Do wyjścia żadnej, aż nim pozwoli na to Arbaces.

— Chciej więc przynajmniej,—rzecze z nagłym pośpiechem,—list zanieść odemnie; wszakże za to nie zabije ciebie Arbaces.

— Do kogo?

— Do Pretora.

— Do urzędnika?... nie! tego nie uczynię... Przywołanoby mię na świadectwo, a niewolnicy są zwykle badani na torturach.

— Przebacz mi, ja nie to chciałam powiedzieć... przez omyłkę wymieniłam Pretora. Chciałam mówić o Sallustyuszu.

— Ach! I czegóż chcesz od niego?

— Glaukus był moim panem; wykupił mię z okrutnej niewoli i był zawsze dla mnie wspaniałym i dobrym; on umiera. W całem życiu nie miałabym chwili szczęśliwej, gdybym go nie uprzedziła przed śmiercią, że serce moje przynajmniej wdzięczność dlań zachowuje. Sallustyusz jest przyjacielem jego; on się podejmie mego zlecenia.

— Jestem pewny, że nie uczyni tego. Chwile Glauka są policzone i nie będzie miał czasu zajmować się ślepą niewolnicą.

— Sozyo,—rzekła Nidya, wstając, — pomnij, że dziś możesz zostać wolnym. Jutro już będzie zapóźno. Nigdy jeszcze niewolnik nie nabył wolności za tak małą ofiarę, z największą łatwością wyjdziesz z domu niepostrzeżony i zabawisz nie więcej, niż półgodziny. Miałżebyś odmówić daru wolności, chociaż tak małej wymagam od ciebie przysługi?

Sozya był silnie zachwiany; wprawdzie śmieszne było żądanie, lecz co mu to szkodzi? Tem lepiej. Mógł drzwi zamknąć. odchodząc, a gdyby nawet Arbaces dowiedział się o jego nieobecności, ani wątpić

że poczytałby to za małe tylko uchybienie i poprzestałby na lekkiem upomnieniu winnego. Lecz jeżeli list Nidyi nie to, co mówiła, zawierać będzie? jeżeli w nim doniesie o uwięzieniu swojem? I to nie grozi mu niczem. Alboż dowiedziałby się kiedy Arbaces, że on skargę zanosił? W najgorszym razie, nagroda ogromna, narażenie się małe, pokusa niezwalczona. Już się nie wahał...

— Daj mi te złote ozdoby, a odniosę list; ale czekaj... tyś niewolnicą... nie masz do nich prawa... one należą do twego pana.

— Mam je od Glauka; on panem moim; sam już pewnie ich nie odbierze, a komuż innemu wiadomem być może, że były w moich rękach.

— To prawda, przyniosę ci papyru.

Bardzo prędko Nidya przygotowała list; tyle jednak była ostrożną, iż go napisała po grecku, wiedząc, że język ten, nieświadomy dla niższej klasy, posiadał każdy lepiej wychowany Rzymianin. Obwiązała starannie pismo ochronną nicią i węzeł jej pokryła woskiem; przed oddaniem go jednak Sozyi, rzekła doń te słowa:

— Sozyo, jestem niewidomą i niewolnicą; może chcesz mię oszukać, udać tylko, że list odniesiesz Sallustyuszowi, możesz nie wykonać zlecenia mojego. Lecz zawczasu uroczyście poświęcam głowę twą zemście, a duszę władzom piekielnym, jeżeli nadużyjesz zaufania mojego; wzywam cię więc, abyś, w zakład wiary, podał mi prawą rękę i powtarzał za mną następne słowa: „Na ziemię, po której cho-

dzimy; na żywioły zawierające pierwiastek i przekleństwo życia; na Orkusa, wielkiego mściciela: na widzącego wszystko Jowisza Olimpijskiego, przysięgam, że wykonam powierzone mi zlecenie i wiernie oddam list do rąk Sallustyusza; gdybym zaś złamał tę przysięgę, niech spadną na moją głowę przekleństwa nieba i piekieł". Dosyć na tem, wierzę ci; odbierz nagrodę... Już noc nadeszła, idź śpiesznie.

— Jesteś nadzwyczajną dziewczyną i okropnie mię przestraszyłaś; nic to jednak nie szkodzi; jeżeli potrafię znaleźć Sallustyusza, nie zgwałcę przysięgi i oddam mu list do rąk własnych. Na bogi! jam niewolny od małych grzechów; lecz co do krzywoprzysięztwa... nie! zostawiam je wyższym od siebie.

To rzekłszy, zamknął starannie na dwa spusty drzwi od izby Nidyi; spuścił nadto żelazną zasuwę, a zawiesiwszy klucz u pasa, okrył się od nóg do głowy obszernym płaszczem i wyszedł drzwiami tylnemi, nie będąc przez nikogo postrzeżonym.

Puste prawie były ulice i rychło zbliżył się do domu Sallustyusza. Odźwierny rzekł mu, aby zostawił list i odszedł, gdyż Sallustyusz tak był zmartwiony osądzeniem Glauka, iż za nic nie chciał widzieć nikogo.

— Ja przysiągłem, że list ten oddam w własne jego ręce i muszę to uczynić, — rzecze Sozya, a wiedząc, że Cerber lubił wino, wsunął mu w rękę z pół tuzina sesterców.

— Dobrze, dobrze,— odpowiedział łagodniej,— możesz wejść, jeżeli chcesz; ale, mówiąc prawdę, Sallustyusz zmartwienie swoje stara się utopić w Falernie. Zwykł zawsze tak czynić, gdy mu co dolega. Każe zrobić doskonałą wieczerzę, podać dobrego wina i nie opuszcza stołu, aż nim smutek przeniesie się z głowy do kufla.

— Doskonałe lekarstwo! Otóż to być bogatym! Gdybym był na miejscu Sallustyusza, chciałbym mieć codzień zmartwienie. Ale przemów słówko do nadchodzącego niewolnika!

Sallustyusz tak był zmartwiony, że nie chciał przyjmować nikogo, ale nie chciał także być samotnym przy stole; dlatego zaprosił na wieczerzę, jak to zawsze w podobnych razach zwykł czynić, swego ulubionego wyzwoleńca, a płacząc, wzdychając i łkając, coraz nową posilał się potrawą i coraz częściej dolewał czary.

— O przyjacielu, — mówił do wyzwoleńca, — jakże srogi padł wyrok!... Niestety! Niezłe to koźlę, ach!... Ten biedny Glaukus!... Lew ma okropną paszczękę!... Ach!... Ach!... Ach!

Czkawka tylko przerywała jęki Sallustyusza.

— Wychyl jeszcze tę czarę wina, — rzekł wyzwoleniec.

— Za zimne... Lecz jak zimno być musi Glaukowi!... Pamiętaj, aby drzwi jutro były zamknięte... niech żaden niewolnik nie waży się wyjść z domu... Nie chcę, aby ktokolwiek z moich ludzi znajdował się na tych przeklętych igrzyskach... Nie chcę, nie!

— Jeszcze czarę wina... Boleść obłąkała twój rozum.

W tej do dogodnej chwili, Sozya stawił się przed niepocieszonym żarłokiem.

— Ach!... kto jesteś?

— Jestem posłannikiem i przynoszę Sallustyuszowi list od pewnej młodej damy. Nie kazano mi czekać na odpowiedź. Czy mogę odejść?

Tak mówił ostrożny Sozya, okrywając twarz połą od płaszcza i zmieniając ton mowy, aby nie być poznanym.

— Na bogi! to prokseneta! *). Nieludzki nędzniku, czy nie widzisz boleści mojej? Idź precz... i niech ci towarzyszą przekleństwa bogów!

Sozya nie czekał powtórzenia rozkazu i odszedł.

— Czy chcesz przeczytać list, Sallustyuszu? — rzekł wyzwoleniec.

— List!... jaki list? — spytał epikurejczyk, któremu już się w oczach dwoiło, — przeklęte kobiety! Mogęż myśleć... o rozkoszy... gdy .. gdy... ma być pożartym przyjaciel.

Czkawka nie przestawała dręczyć biednego Sallustyusza.

— Czy będziesz jadł tę nową potrawę?

— Nie, nie, boleść mię dusi.

— Zanieść go na łóżko,—rzekł wyzwoleniec.

Podchmielony Sallustyusz spuścił głowę na

*) Ułatwiający miłosne schadzki.

piersi, a użalając się nad losem Glauka i szemrząc na niewczesne oświadczenia miłosne, został odniesiony przez niewolników do swego *cubiculum*.

Tymczasem wracał do domu Sozya przejęty oburzeniem.

— Prokseneta!—mówił do siebie, — prokseneta! Przyznać trzeba, że Sallustyusz ma bardzo niegrzeczny język! Gdyby mię nazwał oszustem, złodziejem, mógłbym mu jeszcze przebaczyć, lecz proksenetą! Fe! to słowo oburza najmniej draźliwe serce. Oszusty są oszustami, złodziejami złodzieje, dla własnej ochoty i na własną korzyść; wszelka praca dla siebie, choćby łotrowska, jest szlachetną, filozoficzną, moralną. Lecz prokseneta pracuje nikczemnie dla innych! Jest to kocioł, w którym gotują dla wszystkich! serweta, którą każdy z biesiadników obciera palce. Prokseneta! wolałbym, aby nazwał mię ojcobójcą! Lecz on pijany i bredził od rzeczy; zresztą byłem ukryty. Gdyby tylko wiedział, zem Sozya, rzekłby pewnie: zacny Sozya! poczciwy człowiek! nie wątpię o tem. Jakkolwiekbądź, łatwo dostałem te klejnoty, i to mię pociesza. O bogi, wkrótce będę wolnym, a wtenczas niech kto odważy się nazwać mię proksenetą!... chyba mi dobrze zapłaci.

Sozya, wynurzając tym sposobem szlachetne oburzenie swoje, szedł śpiesznie wąską uliczką, wiodącą do Amfiteatru i otaczających go pałaców. Nagle otoczyły go tłumy kobiet, mężczyzn, dzieci, z których rozlegały się okrzyki, śmiechy, głośne rozmowy, a godny Sozya, nie mogąc przedrzeć się przez tłum

rozweselonej gawiedzi, iść musiał z nią razem powolnym krokiem.

— Cóż to znaczy, — spytał się najbliższego sąsiada. Dokąd śpieszą ci zacni ludzie? Czy jaki bogaty patron rozdaje dziś jałmużnę i żywność?

— Nie, jest coś nad to lepszego,— odrzekł młody rzemieślnik, do którego Sozya przemówił. — szlachetny Pansa, przyjaciel ludu, pozwolił publiczności widzieć zwierzęta w *vivarium*. Na Herkula! jutro nie wszyscy tak bezpiecznie jak my oglądać je będą.

— Piękny to widok, — rzecze niewolnik, idąc zawsze wraz z tłumem, — a że jutro nie będę mógł być na igrzyskach, muszę przynajmniej teraz obejrzeć zwierzęta.

— Dobrze uczynisz, — odrzekł rzemieślnik.— Nie codzień widzieć można w Pompei lwa i tygrysa.

Tłum skupił się w wąskiem i słabo oświeconem przejściu; niebezpieczne było położenie wielu osób, nie mających dosyć siły w członkach do opierania się ciżbie. Pomimo to, kobiety, mające nawet dzieci na rękach i u piersi, torowały drogę z największym uporem, a ostre ich krzyki, narzekania i prośby silnie przemagały huczniejsze i weselsze głosy mężczyzn. Więcej nad innych odznaczała się młoda dziewczyna, której zapał w oczekiwaniu szczęścia miłego widoku nie pozwalał uczuć nawet przykrości tak silnego natłoku.

— Ach!—zawołała, obracając mowę do swych sąsiadek—czyliżem wam nie mówiła, że dostaniemy człowieka dla lwa? aż oto mamy drugiego i dla tygrysa. Chciałabym, aby już był dzień jutrzejszy.

Oh! Oh! co za widok miły
Walka zręczności i siły,
Kiedy w Cyrku tłum ciekawy,
Urządzone zajmie ławy.
Kiedy zagrzmi okrzyk sceny,
A na nią męskiej urody
Wystąpi atleta młody;
I dumny jak syn Alkmeny,
Nim w przeciwnika uderzy,
Wprzód go hardem okiem zmierzy.

— Wesoła to dziewczyna—rzekł Sozya.

— Tak jest – odpowiedział pożerany zazdrością młody i przystojny rzemieślnik; jak lubią kobiety gladyatorów! Gdybym był niewolnikiem, nie wahałbym się pójść na naukę do Lanisty.

— Doprawdy!—rzekł Sozya z pogardą; nie zazdroszczę ci upodobania w takiem rzemiośle.

W tej chwili zbliżył się tłum do *vivarium* Amfiteatru; ale izba, w której trzymano zwierzęta, była bardzo wąską i małą, a ciżba u wnijścia jeszcze się bardziej powiększyła. Umieszczeni jednak przy drzwiach dwaj stróże Amfiteatru zaradzili nieprzyzwoitości natłoku, rozdając małą tylko liczbę biletów widzom najbliższym wnijścia i nie dopuszczając innych, aż gdy pierwsi ciekawość swą nasycili. Sozya, śmielszy i silniejszy od wielu, dokazał tyle, iż w pierwszej stanął kolei.

W małej izdebce zwierząt duszący panował zaduch, a palące się pochodnie rozpościerały kłęby gęstego dymu.

Chociaż zwyczaj wymagał, aby każde zwierzę w oddzielnej umieszczone było izdebce vivarium, dla przyjemności jednak publicznej postawiono razem klatki lwa i tygrysa, silnie okute żelazem.

Byli więc obok siebie dwaj straszni mieszkańcy pustyni. Odtąd już są oni najgłówniejszymi aktorami tej powieści! Lew, lubo łagodniejszej natury od swego towarzysza, rozsrożony jednak głodem, przechadzał się w ciasnem więzieniu swojem; oczy jego malowały wściekłość, a ile razy zatrzymał się i obejrzał wokoło, widzowie cofali się w tył, przejęci mimowolną trwogą. Spokojniej zachowywał się tygrys; leżąc rozciągnięty w klatce, objawiał tylko swą niecierpliwość wstrząsaniem kiedyniekiedy ogona i przeciągłem poziewaniem.

— Nigdym nie widział tak srogiego lwa, nawet w rzymskim Amfiteatrze—rzekł stojący przy Sozyi człowiek silnej i olbrzymiej postawy.

— Czuję się poniżonym, gdy przyglądam się jego członkom — odpowiedział stojący z lewej strony Sozyi z założonemi na krzyż rękami raźniejszy i młodszy człowiek.

Niewolnik obejrzał się na dwie strony i rzekł do siebie:

— *Virtus in medio*! Piękne towarzystwo dla Sozyi, między dwoma gladyatorami.

— Słusznie mówisz, Lidonie — odpowiedział starszy—ja tegoż doznaję wrażenia.

— Zaledwie mogę przypuścić — powiedział Lidon tonem głębokiego zasmucenia—aby ów szlache-

tny Grek, któregośmy przed kilku dniami widzieli, pełen zdrowia, młodości, szczęścia, miał się stać pastwą tego potworu!

— I cóż w tem złego?—rzekł srogi Niger;—niejeden zacny gladyator zmuszony został stoczyć podobną walkę; dlaczegożby nie miało do niej przymusić prawo bogatego mordercy?

Lidon westchnął i wzruszył ramionami. Tymczasem inni widzowie przypatrywali się szermierzom z żywem zajęciem i podziwieniem. Gladyatorowie za jedno poczytywani byli ze zwierzętami igrzysk publicznych. W całem więc zgromadzeniu największą wzbudzali ciekawość i rozlegały się wszędzie poszepty z uwagami, jakie nastręczała obecność głównych aktorów oczekiwanego widowiska.

— Wreszcie dziękuję bogom—rzekł Lidon, odwracając się, że nie ja walczyć będę ze lwem lub tygrysem; wolałbym nawet z tobą mieć do czynienia, Nigerze.

— Wierzaj mi, że nie jestem mniej niebezpiecznym od nich — powiedział Niger z dzikim uśmiechem.

— Być może — odrzekł Lidon niedbale, przedzierając się przez ciżbę i wychodząc z izdebki.

— On pewnie utoruje sobie drogę; zwykle lud ustępuje gladyatorom; muszę udać się za nim; — to rzekłszy, przezorny Sozya pośpieszył za Lidonem.

Syn Medona przedzierał się przez ciżbę; w tłumie zebranym byli tacy, co znali jego osobę i rzemiosło.

— To młody Lidon — rzekł jeden; on walczyć będzie jutro.

— Założyłem się za niego — powiedział inny; — patrzcie, jak śmiałym idzie krokiem!

— Życzę ci powodzenia, Lidonie—rzekł znowu ktoś w tłumie.

— Lidonie, niech towarzyszą ci moje dobre życzenia—odezwała się zcicha przystojna kobieta z klasy średniej; jeżeli zwyciężysz, dowiesz się jeszcze o mnie.

— Na Wenerę! jaki piękny mężczyzna – zawołała młoda dziewczyna, zaledwie wychodząca z dzieciństwa.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział Sozya, stosując do siebie tę pochlebną pochwałę.

Chociaż Lidon nie miał innych pobudek w wyborze tak okrutnego rzemiosła, jak nadzieję okupienia ojca, wrażenie jednak, jakie wzbudzał swoją osobą, przejęło go niejaką dumą. Nie przyszło mu na myśl, że ci sami, co mu nie szczędzili pochwał w tej chwili, gotowi byli może przyklaskiwać na widok jego skonania. Obcowanie z gladyatorami przejęło go właściwą im próżnością i dumą, lubo w gruncie serca całem pogardzał rzemiosłem.

— Nigerze—rzekł, obracając się nagle — nieraz kłóciliśmy się; wprawdzie nie mamy jutro stoczyć z sobą walki, zdaje się jednak, że jeden z nas zostanie na placu... podajmy sobie rękę.

— Z całego serca — rzekł Sozya — wyciągając swoją.

— Ach! cóż to za głupiec? Mniemałem, że za mną idzie Niger.

— Nie gniewam się za pomyłkę — odpowiedział Sozya z miną względnej życzliwości; łatwo ją nawet pojmuję, ponieważ ja i Niger prawie jednostajnej jesteśmy budowy.

— Przedziwnie! wierzaj mi jednak, że Niger podciąłby ci gardło, gdyby słyszał, cośpowiedział.

— Ci panowie szermierze są prawdziwie niegrzeczni — rzekł Sozya; — zmieńmy przedmiot rozmowy.

— *Vah*! *vah*! — rzekł zniecierpliwiony Lidon— przyznam ci się, że nie mam ochoty rozmawiać z tobą.

— Prawda, że dziś niemało masz do myślenia; wszakże to jutro podobno pierwszy raz doświadczasz sił swoich w szrankach. Nie wątpię, że umrzesz odważnie.

— Bodajby słowa te spadły na głowę twoją! — zawołał Lidon, nie smakując bynajmniej w przepowiedni Sozyi. Wcale nie myślę o śmierci i spodziewam się, że jeszcze nie nadeszła ostatnia moja godzina.

— Kto gra w kości ze śmiercią, łatwo powinien spodziewać się przegrania partyi—odparł Sozya złośliwie;—widzę jednak, żeś silny, i życzę ci wszelkiego powodzenia. Vale!

To rzekłszy, niewolnik odwrócił się i udał się drogą prowadzącą do domu swojego pana.

— Mam nadzieję, że słowa tego łotra nie zawierają żadnej przepowiedni—rzekł Lidon z miną zamy-

śloną. Przejęty gorliwością dla celu uwolnienia mojego ojca i zaufaniem w siłę moich członków, jeszczem się nie zastanowił nad tem, że mogę postradać życie. Biedny ojciec! jedyną jego jestem podporą! gdybym poległ...

Uderzony tą myślą, gladyator zaczął iść przyśpieszonym krokiem, gdy nagle ujrzał osobę, którą właśnie miał w myśli. Osiwiały Medon, nachylony troskami i wiekiem, opierał się na kiju i szedł krokiem niepewnym ku gladyatorowi. Ten zatrzymał się nagle, gdyż domyślił się zaraz co było przyczyną, iż starzec wyszedł z domu o tej godzinie.

— Mnie to zapewne szuka — rzekł do siebie; —wyrok Olinta nowem przejął go oburzeniem; coraz więcej nienawiści i wzgardy czuje dla igrzysk Amfiteatru; pragnie jeszcze odwieźć mię od zamiaru stoczenia bitwy. Muszę go unikać, nie mogę bowiem znieść łez jego i nalegań.

Obrócił się w przeciwną stronę i uciekał, aż nim strudzony i zadyszany przybiegł na mały pagórek, z którego widok rozciągał się nad najświetniejszą częścią tego miasta w miniaturze. Księżyc oświecał spokojne ulice i pozwalał widzieć w oddaleniu tłumy ludu, skupione około Amfiteatru. Gladyator usiadł dla wypoczynku na stopniach opuszczonego portyku i uczuł łagodny wpływ ciszy nocnej. Niedaleko od niego, jaśniały liczne światła w pałacu, którego pan dawał ucztę. Drzwi były otwarte dla chłodu, a przez nie widać było liczną gromadę biesiadników około stołów zastawionych w *atrium*; dalej, ukazywał się

długi ciąg oświeconych pokojów, w których końcu znajdował się wodotrysk. Girlandy kwiatów zdobiły kolumny w salach; tu i owdzie wznosiły się posągi, a śród wesołych okrzyków i hucznego śmiechu, rozlegały się śpiewy i muzyka:

Mamyż wierzyć w bajki stare,
Godne śmiechu i ohydy?
Jak z rozumem zgodzić wiarę
I w Parki i w Eumenidy
I w czarne piekła otchłanie
Któremi fałsz uświęcony,
Niszcząc prawdy panowanie,
Straszy głupców miliony?

Dajmy spocząć bogów panu,
Dość mu biedną trudzą głowę
Małżeńskiego kłótnie stanu
I miłostki zadomowe,
Nie żeby chciał śledzić jeszcze
Jak nam chwile życia płyną,
Czyją dłoń w mej dłoni pieszczę,
Albo jakie spijam wino.

Niechaj będzie uwielbione
Imię mędrca co nam z oczu,
Zdarłszy ciemnoty zasłonę,
W miłem świat odkrył przezroczu.
Nam przyszłości noc ponura
Blasku życia nie zaciemia:

Dla wyznawców Epikura,
Bóstwem—rozkosz; niebem—ziemia.

Jakkolwiek pobożność Lidona nie była zbytecznie surową, oburzyła go jednak niemało myśl tego śpiewu, wyrażająca modną naówczas filozofię. Wśród usiłowań pozbycia się przykrego wrażenia, spostrzegł zbliżającą się ku sobie nieliczną gromadę ludzi ze średniej klasy, w prostej odzieży. Zajęci poważną rozmową, zdawali się nie zważać na obecność gladyatora.

O, zgrozo!—rzekł jeden; wydarto nam Olinta! tracimy prawą rękę! O, kiedy Jezus Chrystus zejdzie na ziemię, aby bronić sług swoich!

— Co za oburzająca niesprawiedliwość ludzka!— rzekł inny. Możnaż niewinnego skazać na śmierć jedną z mordercą? Nie upadajmy jednak w rozpaczy; grom Synai może się jeszcze da słyszeć, a Pan zasłoni jego czoło. Nierozumny wyrzekł w swem sercu: „Niema Boga!“

W tej chwili dała się słyszeć zwrotka śpiewu biesiadników oświeconego pałacu:

Nam przyszłości noc ponura
Blasku życia nie zaciemia:
Dla wyznawców Epikura,
Bóstwem—rozkosz; niebem—ziemia.

Na te słowa, przejęci oburzeniem Nazarejczycy, głośno zanucili jeden z ulubionych swych hymnów:

Przy tobie, wkoło ciebie, Bóg obecny wszędzie,
On widzi, on cię słyszy, on cię sądzić będzie.
Drżyj, ziemio! z niebios twemu odsłonionych oku,
Na ognistym Bóg-mściciel spuszcza się obłoku.
Biada wam, mędrce zuchwali!
Coście jego praw nie znali!
Biada niewiernym, fałszywym!
Biada złośliwym!

Drżyjcie, bezbożni! grzmiąca trąba Archanioła
Wstrząśnie groby i zmarłych do życia przywoła,
Wyschną morza, na ziemi zniszczoną posadę
Spadnie zagasłe słońce, spadną gwiazdy blade,
Okropnej krzyk rozpaczy wyda grzesznych trwoga,
I miecz sprawiedliwości błyśnie w ręku Boga.
Biada wam wtenczas, zuchwali,
Coście jego praw nie znali!
Biada niewiernym, fałszywym!
Biada złośliwym!

Po tych prorockich słowach, nagłe milczenie opanowało salę biesiady. Chrześcianie znikli w oddaleniu, a Lidon. mimowolnie przerażony tajemniczemi ich pogróżkami, powstał z miejsca po krótkiej przerwie i udał się do swego mieszkania.

Jak to powabne miasto spokojnie spoczywało pod niebem osypanem gwiazdami! Jak się zdawały bezpieczne kolumnady jego ulic! jak cicho i rozkosznie toczyły się fale opasującego je morza! jak miłą powłoką ciemnego błękitu osłaniało je wypogodzone

niebo Kampanii! Tymczasem ta noc miała być ostatnią dla błogiej Pompei! dla kolonii osiwiałego Chaldejczyka! dla grodu bajecznego Herkulesa! Powaby jego tyle przeżyły wieków, a teraz upłynąć miały ostatnie ziarna piasku klepsydry jego przeznaczenia. Gladyator usłyszał za sobą lekkie kroki kobiet, wracających z Amfiteatru. Gdy się obrócił, wzrok jego uderzyło nadzwyczajne zjawisko. Z wierzchołka zaledwie dostrzeganego w oddaleniu Wezuwiusza wzniosło się blade, zielonawe, meteoryczne światło; zawieszone w przestrzeni, drgało czas niejaki i znikło. W tejże chwili najmłodsza z kobiet dźwięcznym i przenikliwym głosem zanuciła zwrotkę znanej już piosnki o oczekiwanej na dzień jutrzejszy rozkoszy igrzysk Amfiteatru.

KSIĘGA V.

Stat ecce ad aras hostia, expectat manum
cervice pronâ
Mutatus ordo est; sede nil propria jacet,
sed acta retro cuncta.

Seneca.

Tempore quanquam illo tellus quoque, et
aequora ponti.
Si quâ dabant...

Virg., Georg., lib. 1.

ROZDZIAŁ I.

Sen Arbacesa.—Odwiedziny i ostrzeżenie.

Powolnie upływała noc, poprzedzająca okrutne widowisko Amfiteatru, ale zajaśniały nakoniec pierwsze promienie *Dnia Ostatniego Pompei*. Powietrze było spokojne i ciężkie. Posępna mgła unosiła się nad rozległemi dolinami Kampanii. Rybacy, udawszy się na morze o świcie, spostrzegli z zadziwieniem, że chociaż powietrze było nadzwyczaj spokojne, wzburzone jednak fale zdawały się trwożliwie cofać od brzegu, a wspaniały Sarnus, którego głębokich nur-

tów napróżno dziś szuka podróżny, wydawał szmer głuchy, oblewając kwieciste błonia i bogate domy letnie zamożnych obywateli. Wspaniała góra przebijała się przez mgłę poranną, ale ukazujący się od dni kilku obłok znikł nagle, a dumne jej czoło w całej czystości wznosiło się nad otaczającemi ją dolinami.

Wcześniej, niż zwykle otworzono bramy miasta. Przybywały tłumnie powozy i jezdzcy, a liczne gromady pieszych, w świątecznych s ata h, napełniały powietrze radosnemi okrzykami. Ulice natłoczone były miejscową i przybyłą z sąsiedztwa Pompei ludnością; wszystkie zaś te tłumy zbiegły się w jedno miejsce i znikały w złowieszczym Cyrku.

Chociaż rozmiary Amfiteatru nie miały żadnego stosunku z rozległością miasta, którego cała ludność mogłaby w nim pomieścić się w potrzebie, w nadzwyczajnych jednak zdarzeniach tyle zbiegało się ludzi ze wszystkich miast Kampanii, że przed zaczęciem widowiska, plac obszerny przed gmachem bywał natłoczony przez wiele godzin tłumami osób, oczekujących wolnego przystępu, a nie mających prawa do miejsc uprzywilejowanych w Cyrku. Lecz w tym razie zgiełk był większy jeszcze, niż zwykle, z powodu obudzonej ciekawości powszechnej procesem i osądzeniem dwóch tak znakomitych przestępców.

Gdy wszystko, co żyło, biegło i wyprzedzało się, zmierzając ku jednemu celowi, do ustronnego mieszkania Arbacesa i Egiptu dążyła powolnym krokiem nieznajoma osoba. Na widok jej staroświeckiego ubioru, dziwnego chodu i dzikich poruszeń, trącali się łok-

ciami i uśmiechali się spotykający ją ludzie; lecz gdy wzrok skierowali na jej oblicze, wesołość ich w nagłą przemieniała się trwogę, bo miała twarz trupią. Jej ubiór i wyraz twarzy wystawiały podobieństwo z istotą, któraby powróciła do życia, po długiem przebywaniu w grobie. Z przestrachem rozstępowały się przed nią gromady ludzi i znalazła się rychło przed rozległym portykiem pałacu Arbacesa.

Egipcyanin tej nocy twardszy miał sen, niż zawsze, ale przed nadejściem dnia zakłóciły spokojność jego dziwne i przerażające widzenia; wrażenie ich tem silniej działało na umysł, że miały cechę systematu filozofii, któremu się wyłącznie poświęcał.

Widział się przeniesionym w głębokie wnętrzności ziemi i umieszczonym w rozległej jaskini, której sklepienia wspierały się na ogromnych kolumnach, ukutych z surowego i pierwotnego granitu. Wierzchołki tych kolumn niknęły w ciemnościach, których nigdy nie rozjaśnił najmniejszy promyk światła, a przestrzeń wolną u spodu zajmowały koła kręcące się nieustannie i wydające huk jak wzburzone morza bałwany. Z prawej i lewej strony były próżne miejsca, w których daleko rozciągały się długie galerye, słabo oświecone błędnemi światełkami, nakształt meteorów. Blask ich przybierał niekiedy kształt poziomo czołgających się wężów; niekiedy wznosiły się na powietrze przybierając tysiące dziwacznych kształtów; czasem znikały i ukazywały się znowu w silniejszem nierównie świetle. Gdy Arbaces przyglądał się z zadziwieniem lewej galeryi, zaczęły się w niej ukazywać lek-

kie i napowietrzne postaci, zmierzające powolnie do wielkiej sali, gdzie wznosiły się do góry i znikały jak dym w powietrzu.

Przerażony, obrócił się ku innej galeryi; ale i tu z górnych ciemności spuszczały się podobnież cienie i przebiegały galeryę jakby niesione niewidomą siłą. Widma te miały wyraźniejsze rysy od pierwszych; jedne malowały radość; inne boleść, te nadzieje i oczekiwanie, tamte okropność i przestrach. Ten wir bezustanny, jakby obcą wzbudzony siłą, obłąkał wzrok zdumiałego widza.

Arbaces odwrócił oczy, aż w głębi sali postrzegł ogromną postać siedzącej na tronie z trupich czaszek olbrzymiej niewiasty; zajęta była robotą około niepojętego warsztatu; lecz gdy się baczniej przypatrywał, dostrzegać zaczął połączenie tego warsztatu z kołami, które zrazu wzrok jego uderzyły. Niepokonana siła przywiodła go do tej kobiety, wyrażającej powagę, ciszę i godną podziwienia spokojność. Jej rysy przypominały wyraz kolosalnego posągu sfinksów jego ojczyzny. Żadna namiętność, żadne ludzkie wzruszenie nie zachmurzyło jej myślącego i zimnego czoła; smutek, radość, nadzieja, słowem, żadne uczucie, właściwe ludzkiemu sercu, nie miało do tej twarzy przystępu. Jej piękność malowała tajemnicę tajemnic; wzniecała szacunek, ale nie przestraszała; było to jakby wcielenie szczytności. Z piersi Arbacesa wydobył się głos mimowolnie; zapytał:

— Kto jesteś i do jakiej należysz sekty?

— Widzisz, czem jestem, odpowie ogromne wi-

dmo; imię moje *Natura*! Te koła są podstawą świata, a ręka moja porusza je dla utrzymania życia wszech rzeczy.

— Cóż znaczą te tak dziwnie oświecone galerye?—spyta Arbaces, — które z obu stron zagłębiają się w otchłań ciemności?

— Galerya z lewej strony,—odpowie olbrzymia niewiasta,—jest galeryą istot jeszcze nienarodzonych; cienie, unoszące się naprzód i do góry, są to dusze przybywające z miejsc, których ci poznać niewolno, i udające się dla odbycia przeznaczonej im na ziemi pielgrzymki. Galerya z prawej strony, w której cienie zstępują z góry i udają się ku krainom zarówno czczym i nieznanym, jest galeryą umarłych.

— Cóż znaczą, — spyta Arbaces, — te czołgające się w ciemności błędne światełka?

— Niedołężny zwolenniku umiętności ludzkiej, ty, co widzisz gwiazdy i mniemasz się zdolnym odgadywać początek i przyczynę rzeczy; dowiedz się, że to są iskierki udzielone naturze, dla oświecania jej drogi i odgadywania przeszłości i przyszłości. Sądź z tego, karzełku umiejętności, jakie światło dla ciebie mogło być przeznaczone!

— Dlaczego tu jestem?—spyta Arbaces z mimowolnem drżeniem.

— Jest to przeczucie duszy zbliżającego się losu, cień przeznaczenia, które opuszcza ziemię i zmierza ku wieczności.

Nim zdołał odpowiedzieć Arbaces, uczuł w jaskini wiatr silny, jakby od poruszenia skrzydeł olbrzy-

miego boga. Porwany z ziemi, i uniesiony wzbudzonym wirem, jak suchy listek jesiennym wiatrem, nagle znalazł się otoczony widmami śmierci, które z nim razem latały po rozległych ciemnościach. Gdy w próżnej i niedołężnej rozpaczy starał się pokonać porywającą go siłę, zdało mu się, jakby wiatr pewną przybierał postać, ukazały się skrzydła i szpony ujającego w powietrzu orła, którego oczy zwracały nań przenikające i nielitościwe spojrzenia.

— Kto jesteś? — spyta znowu Egipcyanin.

— Już mię zapewne poznałeś,—odpowie widmo z głośnym śmiechem; imię moje *Potrzeba.*

— Dokąd mię prowadzisz?

— W nieznane strony.

— Czy znajdę tę szczęśliwość, czy boleść?

— Jak posiałeś, tak zbierzesz.

— To nieprawda, straszna istoto! Jeżeli ty rządzisz życiem, zbrodnie, które popełniłem, nie mojem, lecz twojem są dziełem.

— Ja jestem tylko tchnieniem Boga,—odpowie straszliwy wiatr.

— Próżną więc moja umiejętność! rzecze z jękiem Arbaces.

— Nie narzeka na przeznaczenie rolnik, gdy, posiawszy osty, te nie wydały mu zboża. Tyś posiał występek; nie obwiniaj więc przeznaczenia, że ci odmówiło żniwa cnoty.

Scena nagle się odmieniła. Arbaces znalazł się śród stosów kości ludzkich; w ich liczbie była czaszka niezupełnie jeszcze opadła z ciała, a zwodnicze

ułudzenia snu ukazały w niej oblicze Apaecidesa; z otwartych w połowie szczęk jego wyszedł robak, i pełznąc zbliżył się do nóg Egipcyanina. Chciał go zadeptać, lecz zaczęły wzrastać jego rozmiary; wzdymał się i powiększał, aż nim przybrał postać ogromnego węża, który opasał członki Arbacesa. Silne jego ciśnienie kruszyło mu kości, a jadowita paszczęka i zaiskrzone oczy zmierzały ku twarzy. Napróżno Arbaces chciał się pozbyć srogiego potwora; zatruty oddech jego pożerał i trawił żywotne siły ofiary.

Gdy cios śmierci był niedaleki, gad przybrał nagle podobieństwo Apaecidesa i rzekł mu do ucha te straszne słowa:

— Ofiara twoja jest twoim sędzią; robak, któregoś chciał zadeptać, staje się wężem i pożera cię.

Z krzykiem gniewu i boleści obudził się Arbaces; dębem stały mu włosy, pot zimny spływał po czole, oczy były błędne i osłupiałe, silne członki trzęsły się jak u słabego dziecka, tak okropne sen zostawił wrażenie. Powoli odzyskał przytomność i podziękował bogom, chociaż w nich istotnie nie wierzył, iż widzenie to snem tylko było znikomym! Widok promieni dnia przebijającego się przez wąskie i wysokie okno, obdarzył go spokojnością; cieszył się i uśmiechał; potem, spuściwszy oczy, spostrzegł przed łóżkiem wybladłą twarz, zgasłe oko i zsiniałe usta..... czarownicy Wezuwiusza.

— Ach! zawołał, zakrywając ręką oczy, aby nie widzieć tak okropnego zjawiska, czyliż to jeszcze sen? Czyliżem jeszcze w krainach śmierci?

— Nie, wielki Hermesie! jest przy tobie osoba podobna do śmierci, ale jeszcze żyjąca. Poznaj twą przyjaciółkę i niewolnicę.

Długie nastąpiło milczenie; dreszcz w członkach Arbacesa przeszedł stopniowo, i nakoniec całą odzyskał spokojność.

— Był to więc sen tylko; ach! muszę o nim zapomnieć; inaczej rozkosze dnia nie nagrodzą męczarni nocnych. Kobieto, jak tu przyszłaś i po co?

— Przyszłam, aby cię ostrzedz, — odpowie czarownica głosem grobowym.

— Ostrzedz! czyliżby sen mówił prawdę? jakież mi zagraża niebezpieczeństwo?

— Słuchaj. Nieszczęście grozi temu miastu. Uciekaj, póki czas jeszcze! Wiesz, że mieszkałam na pochyłości góry, w której wnętrznościach, według dawnych podań, palą się jeszcze ognie Flegetonu; w jaskini mojej jest przepaść głęboka! od dni kilku widziałem w jej głębi czerwony i ciemny strumień, który się powolnie posuwał, a w nocy okropne rozlegały się dźwięki. Kiedym dziś w głąb zajrzała jaskini, spostrzegłam, że strumień ten stał się okropnie ognistym i jasnym; nagle zwierzę, które ze mną mieszkało, wydało żałosne wycie; upadło i skonało, a paszczęka jego okryła się pianą.*) Powróciłam do mego mieszkania; lecz całą noc czułam wyraźne trzęsienie skały; a chociaż powietrze było ciężkie i ciche,

---

*) Zdaje się, iż to były wyziewy podobne jak w *Psiej grocie: Grotta del cenc.*

słyszałam świst wiatru i huk jakby toczących się wozów pod ziemią. Przed rannym świtem zajrzałam znowu w głąb otchłani i spostrzegłam jak po powierzchni płomienistego strumienia pływały ogromne odłamy skał czarnych; sam zaś zdrój stał się bystrym, szerokim i jeszcze czerwieńszym potokiem. Udałam się wtedy na szczyt skały i ujrzałam głęboką próżnię, której dotąd nie było, a z niej podnosił się dym lekki i śmiertelne wyziewy, które zatamowały mój oddech i ledwie nie zadały mi śmierci. Wróciłam do siebie, zabrałam złoto i opuściłam miejsce, które od tylu lat było mojem mieszkaniem, bo przypomniałam sobie tajemniczą przepowiednię hetruską: „przepadnie miasto, gdy otworzy się góra! gdy dym uwieńczy opaloną górę, łzy i boleść opanują mieszkania dzieci morza“. O panie! przybywam do ciebie, nim opuszczę nazawsze te mury. W głębi serca przeczuwam, że to trzęsienie ziemi, które przed szesnastoma laty zachwiało miasto w podstawach, było tylko przepowiednią okropniejszego jeszcze nieszczęścia. Mury Pompei wznoszą się nad błoniami śmierci i zdrojami piekieł, które nie znają spoczynku. Posłuchaj mię.... uciekaj.

— Czarownico, dziękuję ci za twoją troskliwość. Na tym stole jest czara złota; weź ją, należy do ciebie. Nie mniemałem, aby ktokolwiek, prócz kapłanów Izydy, życzył ocalenia Arbacesowi. Znaki, któreś widziała w głębi zgasłego Wulkanu, — rzecze dalej Arbaces z miną zastanowienia, — grożą w samej rzeczy temu miastu jakiemś niebezpieczeństwem, może drugiem, straszniejszem od pierwszego trzęsieniem ziemi. Co-

kolwiekbądź, muszę śpiesznie opuścić te mury; po dniu dzisiejszym, wszystko do odjazdu przyrządzę. Dokąd idziesz, córo Etruryi?

— Do Herkulanum; potem udam się dalej szukać nowego mieszkania. Już nie mam przyjaciół; dwaj towarzysze moi, lis i wąż, nie żyją. Wielki Hermesie, tyś mi przyrzekł jeszcze dwadzieścia lat życia.

— Tak jest, — odpowie Egipcyanin, — przyrzekłem ci je, ale powiedz mi, — dodał, opierając głowę na ręku i przypatrując się jej ciekawie, — na co potrzebne ci życie? jakiej w niem doświadczasz słodyczy?

— Nie życie słodkie, lecz śmierć straszna! — odpowie czarownica pełnym wyrazu i przenikliwym głosem, który głębokie wywarł wrażenie na sercu dumnego astrologa. Prawda tej odpowiedzi przejęła go trwogą, a nie chcąc mieć dłużej u siebie tak niemiłego gościa, rzekł:—

— Czas upływa; muszę się przysposobić do wielkiego widowiska, jakie dają w dniu dzisiejszym. Żegnam cię, siostro, niech w długie lata ogrzewają cię płomienie życia.

Czarownica, zawinąwszy kosztowny dar Arbacesa w połę długiej sukni, wstała, aby odejść. Lecz zbliżywszy się do drzwi, obróciła się i rzekła:

— Dziś po raz ostatni widzimy się z sobą na ziemi; lecz gdy opuszczą popioły błędne płomienie naszego życia, zejdziemy się może jeszcze w drugiem istnieniu! Czarownica i Mag, uczennica i nauczyciel,

wielki człowiek i przeklęta kobieta, może się jeszcze zobaczą. Żegnam cię!

— Precz ztąd, złowieszczy kruku! — rzekł Arbaces, gdy usłyszał, że drzwi zamknęły się za czarownicą; a dręczony wrażeniem snu okropnego, spiesznie zawołał swych niewolników.

Zwyczajem było przywdziewać uroczyste szaty na igrzyska w Amfiteatrze, jakoż Arbaces wziął ubior najwyszukańszy. Raziła wzrok ćmiąca białość jego tuniki; *fibulae* były całe z kosztownych kamieni; na tunikę włożył obszerną szatę wschodnią, jaśniejącą najżywszym kolorem purpury tyryjskiej; jego obuwie, okrywające połowę nogi do kolan, zdobiły w złoto oprawne dyamenty. W ważniejszych zdarzeniach nie zaniedbywał nigdy gmin mamiących pozorów, a dzień, który ofiarą Glauka miał go nazawsze pozbawić współzalotnika i obawy wyjścia na jaw jego występków, poczytywał za uroczystość godną tryumfalnego ubioru.

Ludzie wysokiego stopnia mieli także zwyczaj ukazywać się w Amfiteatrze, otoczeni licznym orszakiem wyzwoleńców i niewolników, i mnoga służba Arbacesa stała już w rzędach szykownych, oczekując na lektykę pana.

Tylko niewolnice, przeznaczone do usług Jony, i godny Sozya, jako stróż Nidyi, zmuszeni zostali z bólem serca pozostać w domu.

— Kaliaszu, rzekł Arbaces do wyzwoleńca, gdy ten zapinał mu pas, już mię znudziła Pompeja; oddalę się za trzy dni, jeżeli wiatr będzie pomyślny.

Wszakżeś widział w porcie okręt, należący do Narsesa z Aleksandryi; kupiłem go. Pojutrze, przeniesiecie nań moje rzeczy.

— Tak rychło!... dobrze; posłusznym będę Arbacesowi,... a twoja wychowanica?

— Towarzyszyć mi będzie!... Czy piękny poranek?

— Powietrze ciężkie i duszące; pewnie wielki dziś będzie upał.

— Żałuję gladyatorów, a więcej jeszcze nieszczęsnych ofiar dzikich zwierząt. Idź i zgromadź niewolników.

Arbaces, pozostawszy sam jeden, wszedł do swej pracowni, a ztamtąd do portyku. Ujrzał zbiegające się ze wszystkich stron tłumy ludzi do Amfiteatru, usłyszał okrzyki widzów i szelest powrozów, zapomocą których podnoszono ogromną oponę, mającą osłonić obywateli, aby z rozkoszną wygodą przypatrywać się mogli męczarniom i śmierci swych bliźnich. Nagle rozległ się dźwięk przerażający i straszny; był to ryk lwa. Nastąpiła chwila milczenia, a po niej głośny śmiech. Bawiono się niecierpliwym głodem króla zwierząt.

Obrócił potem Arbaces wzrok niespokojny ku Wezuwiuszowi. Jaśniała na nim zieloność bogatych winnic, a sama góra, spokojna jak wieczność, kryła swe czoło w nieruchomych obłokach.

— Dosyć jeszcze czasu przed spodziewanem trzęsieniem ziemi. — To rzekłszy, oddalił się, a prze-

chodząc około stołu, na którym leżały jego tajemnicze papiery i rachuby astrologiczne, rzekł:

— Wspaniała sztuko! jeszczem się twych wyroków nie radził, odkiedy przeznaczenie pozwoliło mi ujść niebezpieczeństwa, któreś przepowiedziała. Mniejsza o to! wiem, że odtąd nic w moich zamysłach nie stanie na przeszkodzie. Czyliż już nie miałem tego dowodów? Precz odemnie wszelkie wahanie się, wszelka litość!... Serce moje dwa tylko obrazy widzi w przyszłości: panowanie i Jonę.

ROZDZIAŁ II.

Amfiteatr.

Nidya, upewniona przez Sozyę, że list jej był w ręku Sallustyusza, raz jeszcze odzyskała nadzieję. Ani wątpić, że Sallustyusz pośpieszy do Pretora i przybędzie do domu Egipcyanina, aby ją uwolnić i otworzyć więzienie Kalena. Tej jeszcze nocy Glaukus zostanie ocalony. Niestety! noc upłynęła i zajaśniała na niebie jutrzenka, a Nidya nie słyszała nic więcej, jak krzątanie się po krużgankach niewolników, około przygotowań do nadchodzących igrzysk. Później nieco, dał się słyszeć głos rozkazujący Arbacesa; zabrzmiała wesoła trąba; orszak udawał się do Amfiteatru, aby napaść wzrok konaniem Ateńczyka.

Uroczyście i poważnie szedł orszak Arbacesa; zbliżywszy się do miejsca, przeznaczonego dla lektyk i powozów, zatrzymał się, a Arbaces wszedł do Amfiteatru wnijściem, wyłącznie przeznaczonem dla osób znakomitych. Niewolnicy jego połączyli się z ludem i, oddawszy bilety, zostali umieszczeni

przez posługaczy w miejscu Amfiteatru, zwanem *popularium*. Arbaces z siedzenia swego obejmował rzutem oka całą ciżbę, zapełniającą ogromny teatr.

Na ławach najwyższych i oddzielonych siedziały kobiety, których różnobarwna odzież czyniła widok podobny do kwiecistej łąki. Łatwo sobie wystawić, iż ta część zgromadzenia była najbardziej ożywiona i że spojrzenia bezżennych mężczyzn, którzy także mieli wydzielone miejsca, zwracały się bezustannie ku tej stronie. Siedzenia najniższe, bezpośrednio otaczające szranki, zajmowały osoby znakomitego rodu i imienia, senatorowie, urzędnicy i stan rycerski *). Przez przejścia, albo korytarze z prawej i lewej strony, prowadzące do wszystkich tych miejsc, przechodzili także walczący, udając się do szranek, które miały kształt elipsy i silną palisadę wokoło, aby od niebezpieczeństwa napadu zwierząt zasłonieni byli widzowie. Pomiędzy palisadą a pierwszym rzędem ławek wznosił się przedpiersień, na którym znajdowały się napisy i malowidła alfresco, zgodne z przeznaczeniem całego gmachu. W różnych miejscach budowli były ukryte kanały, z których w godzinach silnego upału wytryskała zaprawna wonnościami woda, dla otrzeźwienia znużonych widzów. Słudzy Amfiteatru jeszcze zajęci byli rozciąganiem obszernych opon, *velaria*, zrobionych z najcieńszego płótna Apulii, i ozdobionych

*) Equester ordo · Stan obywateli pośredni między senatem i pospólstwem.

szerokiemi szlakami karmazynowemi; lecz czy to z przyczyny niezręczności rzemieślników, czy też dla złego urządzenia wind i powrozów, opony te nie dały się rozpiąć z należytą dokładnością. Z powodu rozległości Amfiteatru było to prawie zawsze tak trudne dzieło, iż w czasie wietrznej pogody nawet go nie rozpoczynano. Lecz w dniu tym tak było ciche powietrze, że nic nie mogło usprawiedliwić niezręczności posługaczy; jakoż dały się słyszeć głośne szemrania, gdy spostrzeżono, że nie schodziły się dwa końce opony.

Edyl Pansa, którego kosztem dawane były igrzyska, nadzwyczajnie rozgniewał się za ten przypadek i poprzysiągł, że pomści się nad przełożonym posługaczów, *Villicus*, który biegał na wszystkie strony, pocił się, wydawał próżne zawsze rozkazy, i bezustanne czynił pogróżki.

Zgiełk ustał nagle; rzemieślnicy zaniechali próżnego dzieła; całe zgromadzenie opanowało milczenie, bo odezwały się trąby, zwiastujące przybycie gladyatorów, którzy ukazali się w szrankach, w bojowym szyku. Szli poważnym marszem, aby ukazać widzom spokojność oblicza, siłę członków, rozmaite uzbrojenia i dać sposobność do zawiązania zakładów.

— Ach! — zawołała wdowa Fulwia, zwracając mowę do żony Pansy—czy widzisz tego olbrzymiego gladyatora? jaki dziwny ma ubiór!

— Tak jest—odpowiedziała żona Edyla z nadętością — dumną albowiem była ze znajomości

szczegółów sztuki szermierskiej; jest to *retiarius*, albo walczący siecią; całem jego uzbrojeniem sieć i włócznia o trzech ostrzach, jak trójząb. Żadna zbroja ciała jego nie osłania i nic nie ma prócz tuniki. Silny to bardzo człowiek; walczyć będzie ze Sporusem, tym mężnym gladyatorem, w którego ręku okrągły puklerz i miecz nagi. On także zdjął kaszkiet, aby twarz swoją ukazać; jakie nieustraszone oblicze. Gdy zacznie się walka, będzie miał spuszczoną przyłbicę

— Sieć i włócznia są to zbyt słabe oręże, w porównaniu z mieczem i puklerzem.

— Uwaga ta dowodzi jak dalece jesteś nieświadomą, kochana Fulwio; *retiarius* prawie zawsze zwycięża

— Kto jest ten młody i piękny gladyator, na którym żadnej prawie niema odzieży... wprawdzie to nieprzystojnie; lecz na Wenerę! jak jędrne ma członki.

— To Lidon, młodzieniec, który po raz pierwszy sił swoich doświadczać będzie. Walczy z tym oto gladyatorem, tak ubranym, albo raczej rozebranym jak on... Tetraidesem. Zrazu stoczą grecką potyczkę na rękawice szermierskie poczem uzbroją się w puklerze i miecze.

— Piękny młodzian ten Lidon; jestem pewna, że za nim będą kobiety.

— Inaczej myślą doświadczeni zakładnicy; Klaudyusz trzy przeciw jednemu stawia za jego przeciwnikiem.

— O, Jowiszu! jak to pięknie! — zawołała wdowa — spostrzegłszy dwóch uzbrojonych gladyatorów, którzy wielkim pędem przebiegali szranki na lekkich koniach. Mieli włócznie i wysadzane gustownie okrągłe tarcze, jak walczący w turniejach średniego wieku rycerze. Zbroje ich sztucznie były wyrobione z żelaza; lecz osłaniały tylko uda i prawą rękę; krótkie płaszcze, zaledwie dosięgające siodeł, udzielały całemu ich ubraniu powabną i malowniczą postać; nogi były obnażone do kostek, a stopy okrywało ówczesne lekkie obuwie.

— Jacy są piękni! — powtórzyła wdowa.

— Jeden z nich nazywa się Berbiks; odniósł już dwanaście zwycięztw; inny przybrał dumne imię Nobiliora. Obaj są z Galii.

Podczas tej rozmowy ukończyły się pierwsze sceny igrzysk; nastąpiły po nich zmyślone potyczki na miecze drewniane, które rozmaici gladyatorowie pojedynczo z sobą staczali. Podczas tej wstępnej walki, najwięcej okazali zręczności dwaj rzymscy gladyatorowie, których na tę uroczystość najęto. Po nich za najpowabniejszego uznano Lidona.

Ta udana potyczka trwała około godziny, lecz podobała się tylko prawdziwym znawcom szermierstwa, którzy przenosili sztukę nad silne wzruszenia. Ogół widzów rad był bardzo, gdy się walka istotna zaczęła. Walczący stanęli parami; przejrzano oręże, a straszna zabawa zaczęła się śród głębokiego milczenia, które czasem tylko przerywały trąby i wojenna muzyka.

Najczęściej igrzyska zaczynały się sceną najokrutniejszą ze wszystkich. Jeden *bestiarius*, albo gladyator, przeznaczony dla zwierząt, był naprzód pożartym, jakby wstępna ofiara; lecz w zdarzeniu obecnem, mniemał Pansa, iż właściwiej będzie zachować stopniowanie w zajęciu krwawego dramatu. Zarządził więc, aby naprzód ukazali się w szrankach dwaj jeźdzcy z Galii; dalej nastąpić miały walki piesze gladyatorów; potem ukaże się na scenie lew i Glaukus, a tygrys z Nazarejczykiem zakończą igrzyska.

Niech sobie nie wyobraża biegły w historyi rzymskiej czytelnik, aby w obrazie widowiska Pompei mógł znaleźć podobieństwo do wielkich i wspaniałych scen rzezi, któremi Neron lub Kaligula częstowali mieszkańców cesarskiego grodu. Na igrzyska Rzymu zbierano wszystkich najsławniejszych gladyatorów i większą część dzikich zwierząt, które sprowadzano do Włoch; dlatego w mniejszych miastach cesarstwa igrzyska były mniej częste i mniej okrutne; a i te, które teraz opisujemy, zaledwie miniaturowym portretem Rzymu nazwaćby się tylko mogły. Mimo to jednak, widok około ośmnastu tysięcy istot ludzkich, przypatrujących się nie już urojonym cierpieniom tragedyi, granej przez aktorów, ale rzetelnej walce, w której każdy wchodzący w szranki musiał być zwycięzcą, lub ponieść śmierć srogą, tworzył widowisko, któremu, szczęściem dla ludzkości, nic podobnego w wiekach nowożytnych upatrzyć nie można.

Dwaj jeźdźcy stali naprzeciw siebie w największem, jak tylko pozwalała rozległość miejsca, oddaleniu; a na znak, dany przez Pansę, razem puścili się ku sobie pędem błyskawicy, wysuwając naprzód już okrągłe puklerze, już lekkie, lecz silne groty; gdy Berbiks przybiegł o trzy kroki do swego przeciwnika, koń jego stanął nagle i obrócił się; a nadbiegający z szybkością Nobilior otrzymał uderzenie ostrzem, któreby pewnie zakończyło potyczkę, gdyby się był nie zasłonił z nadzwyczajną zręcznością puklerzem.

— Bardzo dobrze, Nobiliorze! — zawołał Pretor — zachęcając do zapału publiczność.

— Zręczny cios, mój Berbiksie!—odpowiedział Klaudyusz ze swego miejsca.

Szmer głuchy, połączony z hucznemi oklaskami, zabrzmiał na całej przestrzeni Amfiteatru.

Przyłbice obu jeźdźców były zupełnie spuszczone; mimo to jednak głowa była pierwszym celem pocisków; jakoż Nibilior, zwracając nagle konia, z takąż, jak jego przeciwnik, zręcznością, prosto wymierzył włócznię ku szyszakowi nieprzyjaciela. Berbiks podniósł rękę z puklerzem, lecz w tej chwili przeciwnik jego zniżył broń z szybkością błyskawicy i przeszył mu piersi. Berbiks zachwiał się i upadł.

— Nobilior. Nobilior! wołało pospólstwo.

— Przegrałem dziesięć wielkich sesterców — rzekł Klaudyusz z niechęcią.

— *Habet*! Ma już dosyć—rzekł zimno Pansa.— Publiczność dała znak miłosierdzia, ponieważ widok krwi jeszcze nie podniecił jej okrucieństwa; lecz, gdy

do rannego zbliżyli się słudzy szranek, przekonano się, że litość ta była niewczesną. Grot przeszył serce Galla, oczy gasnęły, a płynąca krew czarna na piasek unosi z sobą siłę życia.

— Szkoda, że się walka tak prędko skończyła— rzecze Fulwia; — to prawie niewarto zachodu.

— Tak jest; nie żałuję bynajmniej Berbiksa; łatwo było przewidzieć, że atak Nobiliora był tylko zmyśleniem. Patrz, hak zaczepiają za ciało, wloką je do *spoliarium*, i świeży piasek sypią na ziemię. Jak przykro być musi dla Pansy, iż nie jest tak bogatym, aby za przykładem Nerona mógł całe szranki osypać boraksem, lub cynobrem.

— Patrz! lubo tak krótką była pierwsza potyczka, nie będziemy długo czekać na inne; mój piękny Lidon, rycerz o sieci i zbrojni w miecze szermierze już napełniają szranki!

Tym razem ukazało się sześciu walczących: Niger z siecią przed Sporusem, uzbrojonym w puklerz i krótki miecz; Lidon i Tetraides, obaj zupełnie nadzy, prócz pasa na biodrach, opatrzeni tylko rękawicami; nakoniec dwaj gladyatorowie rzymscy w stalowych zbrojach, trzymający ogromne puklerze i kończate miecze.

Wstępna walka Lidona z Tetraidesem nie tak była śmiertelną, jak potyczka innych szermierzy; jak tylko stanęli przeciw sobie, inni ich towarzysze oddalili się na stronę i, wsparci na orężach, oczekiwali na rozwiązanie walki.

Na pierwszy rzut oka, nierówne były siły wal-

czących. Chociaż Tetraides nie wyższym był od Lidona, więcej jednak nierównie miał ciała. Nie wahał się lud zawczasu przyznawać zwycięztwa silniejszemu szermierzowi; mniemano bowiem powszechnie, że wielka tusza korzystnie sprzyjała zapasom tego rodzaju. Tetraides, przez ciąg życia, dopomagał, o ile mógł, wrodzonemu usposobieniu do otyłości: szerokie jego plecy i silne członki okrywały mięsiste muskuły, a cała postawa, aczkolwiek niepiękna i niepowabna, objawiała olbrzymią siłę. Lidon zaś, chociaż był bardzo szczupłym, odznaczał się jednak taką szykownością rozmiarów, iż łatwo mógł widzieć przezorny spostrzegacz, że lubo mniejsze miał muskuły od przeciwnika, większa w nich jednak mogła zawierać się siła. Z drugiej strony, jeżeli niedosyć miał ciała, wadę tę mógł nagrodzić czynnością; a malujący się na jego śmiałem obliczu uśmiech pełen wyniosłej dumy uderzającą tworzył sprzeczność z ociężałą niedołężnością rysów jego nieprzyjaciela. Pomimo więc tak wielką na pozór nierówność sił obu zapaśników, Lidon, tyle prawie co i Tetraides, otrzymał za sobą przychylnych okrzyków publiczności.

Ktokolwiek był świadkiem nowożytnych zapasów, ktokolwiek widział jak silne razy wymierzać może dobrze kierowana pięść ludzka, łatwo pojmie, jak dalece powiększały tę siłę opasujące rękę aż do łokcia rzemienie i blachy żelazne, a nawet niekiedy kawałki ołowiu u stawów palca na rękawicy. Lecz to właśnie, co miało cel zainteresowania potyczki, przeciwnie, mniej ją zajmującą czyniło, ponieważ ma-

a liczba sztucznych i szczęśliwych uderzeń kończyła zazwyczaj zapasy; słowem, w walce tej, nigdy prawie nie widziano w starożytności przykładu owej śmiałości, energii, wytrwałości, które tak często mamy sposobność widzieć i podziwiać w Anglii.

— Broń się! — ryknął Tetraides — zbliżając się do nieprzyjaciela. Lidon odpowiedział na to tylko przezornem i wzgardliwem spojrzeniem. Tetraides uderzył... był to raz kowalskiego młotu. Lidon przyklęknął na jedno kolano, a cios ominął jego głowę. Podniósł się potem natychmiast i szeroką swą rękawicą wymierzył cios silny w pierś przeciwnika. Tetraides zachwiał się; publiczność wydała oklask.

— Nieszczęście ściga cię dzisiaj — rzekł Lepidus do Klaudyusza; — przegrałeś już jeden zakład; oto przegrywasz drugi.

— Na bogi! jeżeli to nastąpi, całe utracę mienie; założyłem się za Tetraidesem o pięćdziesiąt wielkich sesterców. Ach! spojrzyj, on bierze górę; jak dzielne uderzenie; krew płynie z ramienia Lidona. Kochany Tetraides!

— Ale Lidon nie traci odwagi. Na Polluksa! całą zachowuje przytomność. Patrz, jak zręcznie unika tych rąk podobnych do młotów... Ach! biedny Lidon, znowu otrzymał ranę.

— Powiększam zakład za Tetraidesem o trzy przeciw jednemu! Czy zgoda na to, Lepidzie?

— Dziewięć wielkich sersterców za trzy... Patrz! Lidon wstrzymał walkę.. chce odetchnąć. Bogi! już leży na ziemi!... ale podniósł się znowu.

Waleczny Lidon! To powodzenie ośmiela Tetraidesa... śmieje się głośno... rzuca się, jak szalony.

— Niebaczny! zaślepia go powodzenie... Wzrok Lidona podobny do ostrowidza — rzekł Klaudyusz z niechęcią.

— Ach! Klaudyuszu, czyś widział to uderzenie? Szermierz twój chwieje się!... Jeszcze raz jeden... upada!... upada!

— Czy go ziemia ożywia? patrz! stoi znowu, ale krew broczy twarz jego.

— Na Jowisza piorunującego! Lidon zwycięzcą. Patrz, jak naciera. To uderzenie w skroń obaliłoby wołu; pokonał nareszcie Tetraidesa. Upadł znowu, lecz już się nie rusza... *Habet... habet!*

Habet! — powtórzył Pansa — odnieść go i dać im zbroje i miecze.

— Szlachetny Edytorze—rzekną słudzy cyrku— zdaje się, iż Tetraides nie przyjdzie tak rychło do siebie.

— Można jednak uczynić próbę.

Po niejakim czasie powrócili posługacze i oświadczyli, iż nawet życie zwyciężonego było w niebezpieczeństwie. Wcale nie mógł ukazać się w szrankach.

— W takim razie, Lidon zajmie miejsce pierwszego zwyciężonego gladyatora.

Lud przyklasnął i znowu wróciła cichość. Trąby zabrzmiały, a czterej szermierze stanęli naprzeciw siebie.

— Powiedz nam, Klaudyuszu, czy sławni są ci rzymscy gladyatorowie? — spytał się Lepidus.

— Eumolpus w sztuce walczenia na miecze drugie miejsce zajmuje. Co do Nepiena, nigdym go jeszcze nie widział, ale jest synem cesarskiego *) gladyatora i z dobrej wychodzi szkoły. Ani wątpię, że potyczka ich będzie nader interesująca. Już mię nic jednak nie bawi; niepodobna, abym odzyskał przegrane pieniądze. Wszystkom stracił. Przeklęty Lidon! ktoby się spodziewał, iż będzie tak szczęśliwym i zręcznym?

— Mam litość nad tobą, Klaudyuszu, i przyjmę jeszcze zakład o potyczkę rzymskich gladyatorów.

— Zakładam się o dziesięć wielkich sesterców za Eumolpusem.

— Jakto! gdy Nepienus jest jeszcze niedoświadczonym człowiekiem? Nie, tego nie mogę przyjąć.

— Przyjmij więc dziesięć za ośm.

— Zgoda.

W jednym z widzów wszystkie te sceny wzniecały okropne uczucia. Stary ojciec Lidona tak silną był pożerany niespokojnością o los syna, iż nie mógł oprzeć się żądzy widzenia go staczającym walkę. Otoczony tłumem nieznanych osób z najniższych klas ludu, starzec nic nie widział, nic nie czuł, prócz obecności mężnego syna. Dopóki los walki był

*) Cesarze swoim kosztem utrzymywali znaczną liczbę gladyatorów.

wątpliwy, milcząc, chociaż ze drżeniem serca, przypatrywał się jej różnym kolejom; lecz gdy ten zwyciężył przeciwnika, wykrzyknął z radością, nie wiedząc, że zwycięztwo to poprzedzić miało straszliwszą jeszcze potyczkę.

— Mój mężny syn! — rzekł, ocierając oczy.

— On synem twoim? — spytał się ktoś z siedzących po prawej stronie Nazarejczyka; prawda, że mężnie walczył; ale to niedość. Wszakżeś słyszał, że musi jeszcze stoczyć bój z pierwszym zwycięzcą. Proś więc bogów, mój starcze, aby zwycięzcą tym nie był żaden z dwóch Rzymian, ani olbrzymi Niger.

Starzec usiadł i twarz zakrył rękami. Nadchodząca potyczka już go nie zajmowała; Lidon nie miał do niej należeć. Ale, ale... myśl jedna nagle go uderzyła... potyczka ta przeciwnie strasznie go obchodzić powinna... wszakże Lidon miał stanąć na miejscu pierwszego zwyciężonego. Powstał więc skwapliwie i wychylił się naprzód, a złożywszy ręce, zaczął przypatrywać się staczanej walce.

Spojrzenia widzów zrazu wyłącznie ujarzmiała potyczka Nigera ze Sporusem, bo ten rodzaj walki, wymagający wielkiej z obu stron umiejętności i zawsze prawie kończący się śmiercią, najżywsze wzniecał w widzach zajęcie.

Walczący stali w znacznej od siebie odległości. Dziwny szyszak Sporusa, ze spuszczoną przyłbicą, zakrywał twarz jego; ale wyraz Nigera, malujący przytłumioną i obłąkaną dzikość, czynił go przedmiotem powszechnej uwagi i podziwienia. Po kilku

chwilach, Sporus, zwolna i ostrożnie zaczął zbliżać się do przeciwnika, końcem miecza zmierzając do jego piersi. Niger cofał się i zbierał sieć w prawą rękę, nie spuszczając z oka wszystkich poruszeń nieprzyjaciela. Nagle puścił się naprzód i zarzucił sieć. Szybki skok na stronę ocalił Gladyatora; wydał ostry krzyk zajadłości i uderzył na Nigera; ale ten już podjął sieć i zaczął biedz w szrankach z szybkością, której tamten napróżno usiłował wyrównać. Lud śmiał się głośno i przyklaskiwał, na widok bezskutecznych usiłowań barczystego gladyatora w ściganiu uciekającego olbrzyma. W tej chwili, cała uwaga obróciła się na dwóch walczących Rzymian.

Ostrożna przezorność, z jaką rozpoczęli bitwę, unikając z obustronną zręcznością stanowczych ciosów, pozwoliła widzom całą skierować uwagę na walkę Sporusa z Nigerem. Teraz już jednak zagrzani bojem Rzymianie zajadłą staczali walkę; nacierali na siebie, cofali się, podchodzili, z całą tą drobiazgową a jednak niedościgłą ostrożnością, jaka cechuje walkę jednostajnie silnych i doświadczonych szermierzy. Nakoniec starszy z walczących, Eumolpus, zręcznym i dobrze wyrachowanym ciosem, ranił w bok Nepiena. Lud dał oklask; Lepidus zbladł.

— Ach! — zawołał Klaudyusz — bitwa już prawie skończona; jeżeli tylko Eumolpus dalej ostrożną wieść będzie walkę, przeciwnik jego całą postrada krew.

— Prawda, ale, dzięki bogom, on się nie hamuje! patrz, jak naciera. Na Marsa! ugodził go Nepienus!

kaszkiet jego wydał dźwięk!... Klaudyuszu, ja wygram.

— Powinienbym grać tylko w kości — rzekł Klaudyusz z rozpaczą.

— Sporus! Sporus! — wołało pospólstwo — widząc jak Niger, zatrzymawszy się nagle, zarzucił znowu bezskutecznie sieć swoją. Tym razem jednak nie zdołał cofnąć się dość szybko i miecz Sporusa szeroką w lewe biodro zadał mu ranę. Cios ten pozbawił go możności uciekania, a współzawodnik nacierał nań z zajadłością. Nadzwyczajny wszakże wzrok jego i długość ręki wielką mu jeszcze nadawały przewagę; wyciągniony trójząb długo nie pozwalał zbliżyć się ku nieprzyjacielowi dla zadania powtórnego ciosu. Sporus szybko rzucił się w bok dla okrążenia przeciwnika, którego wszelkie poruszenia były powolne i ciężkie. Ale w obrocie tym nie zachował zwykłej sobie ostrożności; zanadto zbliżył się ku olbrzymowi; a gdy podniósł rękę dla uderzenia, otrzymał w piersi potrójny cios trójzębem! Przyklęknął, i wnet uwięziła go sieć śmiertelna; napróżno usiłował wyswobodzić się z więzów; złowieszczy trójząb liczne zadawał mu rany, a lejąca się krew potokiem czerwieniła sieć i piasek wokoło walczących! Spuścił ręce na znak poddania się.

Zdjął sieć zwycięzca *Retiarius* i, wsparty na trójzębie, patrzał na widzów, oczekując wyroku. W tejże chwili zwyciężony gladyator osłabionym i pełnym rozpaczy wzrokiem przebiegał zgromadzoną

publiczność. Ale nie upatrzył ani jednego spojrzenia litości i miłosierdzia.

Szmer ustał; panowało okropne, bo żadnego nie malujące uczucia milczenie. Nikt z obecnych, żadna nawet kobieta nie była gotową dać znaku litości i ocalenia. Sporus nie był nigdy lubiony. Lud pragnął krwi; walka bez śmierci nie miała już dla niego powabu.

Gladyator odgadnął wyrok przeznaczenia swojego; ani modły ani narzekania nie wyszły z ust jego. Lud dał znak śmierci... bez szemrania, bez żadnego oporu Sporus spuścił głowę na piersi i czekał na cios śmiertelny. Ale gdy trójzębem nie można było zadać pewnej śmierci, ukazała się przerażająca postać ze spuszczoną przyłbicą, trzymająca w ręku miecz krótki i zaostrzony. Straszny ten wykonawca zbliżył się krokiem mierzonym do klęczącego gladyatora, oparł lewą rękę na jego upokorzonem czole i raz jeszcze rzucił wzrokiem na zgromadzenie, dla upewnienia się, czy w tej ostatniej chwili nie wzruszy się choćby jedno serce uczuciem ludzkości i miłosierdzia; ten sam był zawsze znak śmierci. Błysnął miecz w powietrzu i gladyator potoczył się na piasek; jakiś czas trzęsły się jego członki, potem postradały ruch wszelki. Sporus był tylko trupem.

Ciało jego wywleczono ze szranek przez otwór, zwany bramą śmierci, i rzucono w posępną jaskinię, *spoliarium*. Wuet potem rozstrzygnął się los dwóch innych walczących. Miecz Eumalpusa zadał cios

śmierci nieustraszonemu przeciwnikowi, a nowa ofiara przybyła do trupiej jaskini.

Powszechny ruch zrobił się w gromadzeniu; lud wolniej zaczął oddychać i każdy rozparł się wygodnie na swem siedzeniu. Eumolpus zdjął kaszkiet i ocierał czoło; jego kręcące się włosy, krótka broda, szlachetne rzymskie oblicze i świetne czarne oko powszechną wzbudziły uwagę. Żadnego w postawie jego nie było widać znużenia.

Edytor ogłosił, że Lidon powinien był zająć miejsce Nepiena i raz jeszcze stoczyć walkę z Eumolpusem.

— Jednak, Lidonie, możesz odmówić walki z tak mężnym i doświadczonym szermierzem. Sam wiesz najlepiej, czy ta walka nie przechodzi sił twoich; jeżeli zostaniesz zwyciężonym, poniesiesz śmierć chlubną; jeżeli zaś zwyciężysz, własnym kosztem podwoję oznaczoną nagrodę.

Lud przyklasnął. Lidon oglądał się wokoło, a podniósłszy oczy do góry, spostrzegł twarz bladą i obłąkane spojrzenia ojca. Przestał się wahać. Odniesione w poprzedniej walce zwycięztwo jeszcze nie wystarczało... nie otrzymał całej nagrody... ojciec zawsze był niewolnikiem!

— Szlachetny Edylu — rzekł tonem pewnym— ta walka mnie nie zastrasza. Jako człowiek wyćwiczony przez biegłego Lanistę Pompei, dla jej zaszczytu pragnę walczyć z Rzymianinem.

Lud głośniej jeszcze przyklasnął.

— Stawię cztery za jeden przeciw Lidonowi — rzekł Klaudyusz do Lepida.

— Nie przyjmę nawet dwudziestu przeciw jednemu. Eumolpus prawdziwy atleta; przy nim ten biedny chłopiec zdaje się być tylko uczniem.

Eumolpus bacznie spojrzał na Lidona i uśmiechnął się; westchnął potem nieznacznie z litości, którą jednak rychło nałóg stłumił w pierwszym zarodzie.

Okryci zbroją i szyszakami ze spuszczoną przyłbicą, postąpili ku sobie dwaj ostatni szermierze, gotowi do walki, po której już tylko nastąpić miały zapasy ludzi ze zwierzętami.

W tej chwili, jeden ze sług Amfiteatru wręczył list Pretorowi, który przebiegł go szybko, a twarz jego wyraziła zadziwienie i niepewność. Raz jeszcze odczytał pismo, zamyślił się głęboko, potem rzekł do siebie:

— To niepodobna!... Chociaż tak jeszcze rano, musiał się upić, skoro takich wymaga odemnie niedorzeczności.

Zaczynająca się walka najsilniej zajmowała publiczność. Lubo dotąd Eumolpus całe posiadał jej względy, męztwo jednak Lidona i szczęśliwe odwołanie się jego do zaszczytu Pompei wywyższało go nad przeciwnika w łasce ludu.

— Syn twój, starcze, ze strasznym walczy współzawodnikiem — rzekł do Medona sąsiad; — ale bądź spokojny; gdy tyle okazał już męztwa, lud ani Edytor nie pozwolą, aby został zabitym. Dzielny cios, na Polluksa! uderz nań jeszcze, Lidonie!...

Przerwali walkę dla odpoczynku. Cóż to, szemrzesz, mój starcze?

— Modlę się — odpowiedział Medon ze spokojnem i pełnem wyrazu obliczem.

— Modlisz się!... a to na co? Już nie są to czasy, w których bogowie ludzi unosili w obłoki! Ach! jaki cios!... strzeż się... strzeż się, Lidonie!

Powszechna trwoga opanowała całe zgromadzenie; Lidon, strasznym ciosem ugodzony w kaszkiet, padł na kolano.

— *Habet*! — odezwał się głos ostry kobiety.

Był to głos młodej dziewczyny, która tak żywą okazywała niecierpliwość, aby nie zbywało na zbrodniarzach zwierzętom.

— Milcz — rzekła dumnie żona Pansy; — *non habe*, nawet nie jest raniony.

Tymczasem Lidon, walczący aż dotąd z wielkiem męztwem i zręcznością, zaczynał się cofać przed silnem ramieniem doświadczonego Rzymianina; ręka jego drętwiała, wzrok się zaciemniał, oddech był ciężki i przytłumiony. Walczący bój wstrzymali dla wypoczynku.

— Młodzieńcze — rzekł cicho Eumolpus, — zaniechaj bitwy; zadam ci lekkę ranę i dobrowolnie opuścisz ręce; gdy już lud i Edytor tyle ci okazali względów, życie ocalisz zaszczytnie.

— A ojciec zostanie niewolnikiem! — rzekł cicho Lidon. Nie, jego wolność lub śmierć!

Na tę myśl rzucił się z zajadłością na Eumolpusa; Rzymianin cofnął się, cios nowy wymierzył

Lidon; Eumolpus rzucił się w bok, miecz otarł się o jego pancerz, ale w tem poruszeniu bezbronna pierś młodego szermierza wystawioną została na cios rzymianina, który ugodził mieczem w otwór pancerza, lubo nie miał chęci głębokiej zadać mu rany, Lidon jednak, znużony i osłabiony, padł sam na ostrze oręża, i przebił się niem na wylot. Szybko broń wydobył Eumolpus. Lidon, w bezskutecznych usiłowaniach odzyskania równowagi, upuścił miecz z dłoni, raz jeszcze mimowolnie uderzył gladyatora obnażoną ręką, i padł rozciągnięty na placu. Edytor i całe zgromadzenie zgodnie dali znak miłosierdzia; słudzy szranek zbliżyli się do zwyciężonego i zdjęli mu kaszkiet. Jeszcze oddychał; oczy jego, chociaż już śmiertelna osłaniała je powłoka, zwracały się na nieprzyjaciela z właściwą rzemiosłu jego srogością. Skierował je potem na zgromadzenie; lecz nie widział ani Edytora, ani swych litościwych sędziów; próżną dla niego była cała ta przestrzeń; widział tylko twarz pełną wyrazu głębokiej rozpaczy. Śród oklasków pospólstwa, słuch jego uderzył krzyk silnej boleści. Znikła srogość z jego czoła; wyraz synowskiej miłości, słodkiej i czułej, ale pozbawionej nadziei, malował się na jego twarzy. Rychło przybrał znowu wyraz pierwszej srogości i upadł raz ostatni na ziemię.

— Mieć o nim staranie—rzekł Edyl; wypełnił swoją powinność.

Słudzy zawlekli go do *spoliarium.*

— Jest on prawdziwym obrazem chwały i prze-

znaczenia swojego — rzekł do siebie Arbaces, którego wzrok tyle malował wzgardy i dumy, iż obecni, na to spojrzenie, tracili prawie oddech z uszanowania i trwogi.

Skropiono znowu Amfiteatr drogiemi wonnościami; słudzy świeżym piaskiem osypywali szranki.

— Wypuścić lwa i przyprowadzić Glauka Ateńczyka — rzekł Edytor.

Zbytek zajęcia i trwogi powszechne sprawił milczenie. Oczekiwanie zgromadzenia, jak sen okropny, wszystkie zamykało usta.

ROZDZIAŁ III.

Sallustyusz i list Nidyi.

Trzy razy Sallustyusz obudził się w rannym śnie swoim, a przypominając sobie zawsze, że dziś miał zginąć przyjaciel, wzdychał głęboko, obracał się na inną stronę i starał się jeszcze o kilka chwil sennego zapomnienia. Jedynym celem jego życia było unikanie cierpień; kiedy zaś nie mógł tego dokazać, starał się przynajmniej, aby o nich zapomnieć.

Nie mogąc w końcu pozbyć się przykrych swych myśli, usiadł i rzucił wzrok na wyzwoleńca, siedzącego jak zwykle przy łóżku; była to bowiem godzina, w której miłujący literaturę Sallustyusz zwykł codziennie słuchać rzymskich i greckich pisarzy.

— Nie chcę dziś czytania! ani Tybulla, ani Pindara! .. Pindar! niestety! samo jego imię przypomina mi barbarzyńskie igrzyska, które odziedziczył nasz Amfiteatr. Czy już się otworzył? czy już zaczęto igrzyska?

— Oddawna, czyliżeś nie słyszał dźwięku trąb i gwaru zbiegających się widzów?

— Tak jest, lecz z łaski bogów jeszcze mię wtenczas sen nie odbiegał i rychło znowu zasnąłem.

— Gladyatorowie dawno już bezwątpienia są w szrankach.

— Nędzni! .. wszakże nikt z moich ludzi nie poszedł na to widowisko?

— Nikt, zbyt surowy wydałeś zakaz.

— To dobrze! chciałbym, aby ten dzień jaknajrychlej upłynął! Cóż to za list spostrzegam na stole?

— Przyniesiono ci go wczoraj wieczorem, gdyś był tak .. tak...

— Tak pijanym, iż nie mogłem go czytać. Mniejsza o to; nie sądzę, aby co ważnego zawierał.

— Czy mam go otworzyć, Sallustyuszu?

— Otwórz i przeczytaj; może to przynajmniej inny bieg nada moim wyobrażeniom. Biedny Glaukus!

Wyzwoleniec odwiązał wstążkę listu.

— Jakto! po grecku! to jakaś uczona kobieta.

Przebiegł list, a twarz jego przybrała natychmiast wyraz największego wzruszenia i podziwienia.

— Wielcy bogowie! cóżeś uczynił, szlachetny Sallustyuszu, żeś dotąd nie zwrócił na to uwagi? Słuchaj, co list zawiera.

„Nidya, niewolnica, do przyjaciela Glauka, Sallustyusza

„Jestem uwięziona w domu Arbacesa. Pośpiesz do Pretora, postaraj się, aby mię uwolniono, a jeszcze ocalimy Glauka ze lwich szponów. W tych murach jest inny więzień — którego zeznanie może oczyścić Ateńczyka z uczynionego mu zarzutu; człowiek ten

na swoje oczy widział spełnienie zbrodni; on dowiedzie, że prawdziwym zbrodniarzem jest złoczyńca, którego nikt jeszcze nie posądził. Spiesz się! spiesz! Przyprowadź zbrojnych ludzi na przypadek, gdyby opór stawiano; miej także biegłego ślusarza, bo więzienie towarzysza mojej niewoli silnemi opatrzone zamkami. Ach! zaklinam cię na prawą rękę, na popioły ojca, nie trać ani chwili czasu!“

— Wielcy bogowie! — zawołał Sallustyusz, a dziś... o tej może godzinie, on umiera!... Co począć? muszę natychmiast biedz do Pretora.

— Nie, tego nie radzę ci czynić. Pretor i Edytor Pansa są obaj hołdownikami pospólstwa, a pospólstwo nie zechce odłożyć swych nadziei krwawego widoku w samej chwili ziszczenia. Zresztą, wszelka jawność byłaby ostrzeżeniem dla Egipcyanina; z uwięzień tych w jego domu wnosić należy, iż i on należy do sprawy. Ale szczęściem niewolnicy twoi są w domu.

— Rozumiem cię — przerwał Sallustyusz; — uzbrój natychmiast niewolników! udamy się do domu Arbacesa i sami uwolnimy więźniów. Prędzej, Dawusie! podaj mi szatę i obuwie!... papyru i trzciny! *) Napiszę do Pretora, zaklinając go, aby odłożył egzekucyę Glauka, gdyż najdalej za godzinę będziemy

*) Używano trzciny, *Calamus*, do pisania na papierze i pergaminie, a stylu, na woskowanych tabliczkach, liściach drzewa, blaszkach metalowych i t. d. Listy, pisywane już były na papyrze, już na tabliczkach.

w stanie dowieść jego niewinności. Dawusie, bież szybko z tym listem do Amfiteatru i postaraj się oddać go do rąk własnych samego Pretora. O bogowie! sprzyjajcie naszym zamiarom, a wyznam, że zaprzeczający waszej opatrzności Epikur był kłamcą bezczelnym.

ROZDZIAŁ IV.

Jeszcze Amfiteatr.

Glaukus i Olint razem umieszczeni zostali w smutnej izdebce, w bliskości szranek, przeznaczonej dla zbrodniarzy przed ostatnią i straszną ich walką. Oczy ich, już oswojone z ciemnością, w tej okropnej godzinie, zwracały się bezustannie ku sobie. Mdłe światło zamieniało bladość ich twarzy na zielonawą i grobową cerę. Ale na czołach ich malowała się nieustraszona odwaga; członki nie drżały: usta były ściśnione i nieruchome. Wiara jednego, duma drugiego, głębokie uczucie niewinności, czerpana wzajemnie ze wspólności nieszczęścia pociecha, wszystko zbiegało się, aby ofiary te prawdziwymi uczynić bohaterami.

— Czy słyszysz te okrzyki? Przyklaskują na widok krwi ludzkiej!—rzekł Olint.

— Słyszę je! serce moje truchleje, lecz bogowie mię utrzymują.

— Bogowie! o niebaczny młodzieńcze! w tej ostatniej godzinie uznaj jedynego Boga. Czyliżem cię nie oświecał w więzieniu? czyliżem nie płakał, nie modlił się wraz z tobą? Czyż gorliwość moja, bez

względu na własne cierpienia, nie więcej zajmowała się twojem, niż mojem zbawieniem?

— Odważny przyjacielu! — odpowiedział Glaukus uroczyście — słuchałem cię z uszanowaniem, zadziwieniem i tajemną żądzą przekonania się. Gdyby dłużej trwało życie nasze, możebym powoli dawnej zaniechał wiary i dał się nakłonić na twoją; lecz w ostatniej godzinie byłoby podłością czynić z przestrachu to, co tylko być powinno owocem długiego zastanowienia. Gdybym przyjął twoją wiarę i wywrócił ołtarze moich ojców, skłoniłby mnie teraz mogła do tego jedynie nadzieja nieba, lub obawa pogróżek piekła! Nie, Olincie. Z równem kochajmy się miłosierdziem: ja uwielbiam twoją wylaną szczerość; ty lituj się nad mojem zaślepieniem i zatwardziałością odwagi. Mam nadzieję, że spotka mię godna czynów moich nagroda, a panująca w niebie najwyższa władza nie będzie sądzić surowo błędu ludzkości, skoro z nim łączą się uczciwe zamiary i szczerość serca. Nie mówmy więcej o tem. Zważaj! Czy słyszysz szelest ciężkiego ciała, które wloką po ziemi?... Nasze wkrótce będą takiemi!

— O nieba! o Jezu! już cię oglądam! — zawołał Olint, wznosząc ręce; — nie bojaźń, lecz radość mię przejmuje, że drzwi więzienia mojego tak rychło otworzyć się mają!

Glaukus spuścił głowę i milczał; pojmował bowiem różnicę między własną odwagą a towarzysza jego niedoli. Poganin nie drżał; radość unosiła chrześcianina.

Drzwi ostro skrzypnęły... ukazały się włócznie rzędami.

— Glauku, Ateńczyku, godzina twoja nadeszła —dał się słyszeć głos wyniosły i silny; lew czeka na ciebie.

— Jestem gotów — rzekł Ateńczyk. — Bracie i towarzyszu, daj mi ostatni pocałunek. Pobłogosław mię!

Chrześcianin przycisnął do serca młodego poganina; ucałował go w twarz i czoło, zapłakał, a gorące łzy jego skropiły oblicze przyjaciela.

— O, gdybym go był nawrócił! nie opłakiwałbym go teraz! Czemuż nie mogę powiedzieć: dziś jeszcze razem wieczerzać będziemy w raju?

— To może jeszcze nastąpić — odpowiedział Grek głosem drżącym. — Może jeszcze zejdziemy się z sobą za grobem. Dla ziemi zaś, tej ziemi tak pięknej, tak ulubionej... pożegnanie na wieki!.. Godny oficerze, jużem gotów.

Glaukus wydarł się z rąk Olinta; lecz gdy wyszedł z więzienia, zdało mu się, że go dusi powietrze. Osłabiony jeszcze skutkami śmiertelnego napoju, uczuł mimowolny dreszcz i zawrót głowy. Straż szranek unosiła go na rękach.

— Nabierz męztwa—rzekł jeden z żołnierzy;— jesteś młody, zręczny, silny. Dostaniesz broń, nie rozpaczaj, może jeszcze zwyciężysz.

Nic nie rzekł Glaukus, lecz, zawstydzony słabością, gwałtowne uczynił usiłowanie i potrafił odzyskać całą władzę nad sobą. Ciało jego, zupełnie na-

gie prócz pasa na biodrach, namaszczono olejem; dano mu sztylet, broń zawsze zbyt niedostateczną w podobnych razach, i wprowadzono w szranki.

Gdy ujrzał tysiące widzów, zwracających nań ciekawe spojrzenia, wywyższył się wnet nad słabość śmiertelnika; wszelki wyraz bojaźni, sama bojaźń nawet znikła z jego oblicza i serca. Zapłonienie dumy ubarwiło blade jego czoło; podniósł się i stanął w całej wysokości szlachetnej postawy swojej. Piękność oblicza, szykowny kształt członków, baczne lecz pogodne czoło, dumna wzgarda, nieugięta dusza, jakby przemawiająca w każdym rysie jego postawy, wszystko nakoniec przedstawiało w nim wcielony obraz męztwa jego ojczyzny, bóstwa, któremu cześć składało rodzinne jego plemię; zdawał się być razem bohaterem i bogiem!

Na pierwszy jego widok rozległ się szmer nienawiści i oburzenia; rychło jednak mimowolne podziwienie, połączone z szacunkiem i niejaką litością, opanowało zgromadzenie. Z szybkiem westchnieniem cała ta masa żyjących istot razem skierowała oczy na ponury i niekształtny przedmiot, zajmujący środek placu. Była to klatka ze lwem.

— Na Wenerę! jak gorąco! — rzekła Fulwia;— a jednak niema słońca. Dlaczego ci niezręczni posługacze nie zasłonili tego otworu w oponie?

— W samej rzeczy, jest zbyt gorąco; boję się, abym nie zemdlała—rzekła żona Pansy; oczekiwana bowiem sroga walka cały jej zachwiała stoicyzm.

Przez dwadzieścia cztery godziny lew był morzo-

ny głodem, a od pierwszego poranku objawiał dziwną niespokojność, którą stróż zwierząt przypisał bodźcowi głodu; cała jego jednak postawa więcej objawiała przestrach, niż gniew; ryk jego był ciężki i przerywany; zginał głowę, wciągał powietrze przez kraty, potem kładł się i podnosił nagle, wydając ryk głuchy i dziki. W tej chwili, nieruchomy i niemy, leżał w klatce, opierając nozdrza na prętach i siłą oddychania wzruszając piasek na ziemi.

Usta Edytora drżały, a twarz okryła się bladością; niespokojnie oglądał się wokoło; wahał się, czekał; lud zaczął się niecierpliwić. Nakoniec dał znak. Stróż, będący za klatką, drzwi uchylił ostrożnie i lew wyskoczył z wielkim rykiem radości. Stróż schronił się szybko, zostawiając króla lasów sam na sam ze swoim łupem.

Glaukus zgiął się w takiej postawie, aby mógł z całą siłą członków wytrzymać pierwsze natarcie zwierza, a świetną i małą broń swoją trzymał podniesioną do góry, w słabej nadziei, iż jednem dobrze wymierzonem uderzeniem, wiedział bowiem, że jedno tylko zdoła uczynić, ugodzi w oko i przeniknie do mózgu srogiego nieprzyjaciela.

Ale, z niepojętem zadziwieniem wszystkich, zwierz zdawał się nawet nie zważać na obecność ofiary. Jak tylko odzyskał wolność, stanął nagle, wspiął się na tylnych łapach, niecierpliwie wciągał powietrze; potem rzucił się... ale nie na Ateńczyka. Szybkim biegiem wiele razy okrążył szranki, rzucając na obie strony ogromną głową z niespokojnym

i pomieszanym wzrokiem, jak gdyby szukał sposobności do ucieczki; dwa razy chciał przeskoczyć oddzielającą go od widzów zagrodę, a gdy nie zdołał tego uczynić, wydał już nie ów zwykły sobie ryk dumny i srogi, lecz przeciągłe i żałośne wycie. Nie okazywał żadnego znaku gniewu lub głodu. Ogon jego wlókł się smutnie po piasku, a lubo wiele razy zwracał oczy na Glauka, zawsze potem bojaźliwie w inną skierował je stronę. W końcu, znużony bezskutecznością swych usiłowań dostania się na wolność, wszedł z jękiem do klatki i wyciągnął się, jakby dla wypoczynku.

Zadziwienie, obudzone w zgromadzeniu obojętnością zwierza, zmieniło się w oburzenie na jego nikczemność, a gniew zawiedzionego w nadziei pospólstwa zastąpił litość, jaką zrazu uczuło dla Glauka!

Edytor zawołał stróża.

— Cóż to znaczy? Weź bodziec; zmuś go, aby wyszedł i zamknij klatkę.

Gdy stróż z obawą, lecz nie bez zadziwienia zabierał się do wykonania tego rozkazu, głośne krzyki dały się słyszeć przy wnijściu do szranek; liczne głosy zdawały się toczyć zwadę, ale jeden, silniejszy nad inne, wszystkim rakazał milczenie. Powszechna uwaga skierowała się w to miejsce; ciżba rozstąpiła się i nagle na ławie Senatorów ukazał się zgrzany, zadyszany, wycieńczony znużeniem, włosy mający w nieładzie Sallustyusz. Szybkim rzutem oka okrążył szranki, potem zawołał:

— Oddalcie Ateńczyka; śpieszcie się, on nie

winny! Przytrzymajcie Arbacesa z Egiptu... on to zamordował Apaecidesa!

— Czyś oszalał, Sallustyuszu! — rzekł Pretor, wstając z miejsca. Co znaczy ta mowa?

— Każ oddalić Ateńczyka, powtarzam! śpiesz się, albo krew jego spadnie na głowę twoją. Pretorze, jeżeli dłużej wabać się będziesz, własnem życiem za śmierć jego odpowiesz przed Cesarzem! Przyprowadzam naocznego świadka zabójstwa kapłana Apaecidesa. Rozstąpcie się!... zróbcie miejsce!... Ludu Pompei, zwróć oczy na Arbacesa... widzisz go między sobą! Teraz, patrz!... oto kapłan Kalenus!

Cudem ocalony z głodu i śmierci, wybladły, obłąkany, wychudły jak kościotrup, żarłoczne i jakby sępie miotający spojrzenia, Kalenus przyniesiony został aż do ławy, na której siedział Arbaces. Oswobodziciele jego szczupłej tylko udzielili mu strawy, ale osłabione członki utrzymywała nadzieja zemsty!

— Kapłan Kalenus! Kalenus!—wołał lud; — *on* że to w samej rzeczy? Nie... to człowiek umarły!

— To Kalenus—rzekł Pretor poważnie. — Co masz powiedzieć, kapłanie?

— Arbaces z Egiptu jest mordercą Apaecidesa —rzekł kapłan;—te oto oczy widziały cios śmiertelny. Z głębi więzienia, w które mię wtrącił, z łona grobu i głodnej śmierci, ocalili mię bogowie, abym zbrodnię jego wyjawił! Puśćcie na wolność Ateńczyka... *on* niewinny!

— To więc dlatego lew go nie ruszył!... Cud! cud!—wołał Pansa.

— Cud! cud!—powtarzał gmin; — oddalić Ateńczyka... *Arbaces dla lwa!*

Okrzyk ten rozlegał się po górach, dolinach i bliższej nadbrzeżów morza przestrzeni: *Arbaces dla lwa.*

— Oddalić oskarżonego Glauka, lecz trzymać go zawsze pod strażą—rzekł Pretor. — Bogowie szafują dziś cudami.

Gdy Pretor dał rozkaz ocalenia, rozległ się radosny krzyk kobiety, który z elektryczną siłą przedarł się do serc całego zgromadzenia; głos ten był święty, rozczulający! Całe pospólstwo odpowiedziało nań krzykiem zajęcia i współczucia.

— Uciszcie się!—rzekł poważnie Pretor — czyj to głos?

— Młodej niewidomej, Nidyi — odpowiedział Sallustyusz; — jej to ręka wydobyła z grobu Kalena i ocaliła ze lwich szponów Greka.

— Nie tak rychło — rzekł Pretor. — Kapłanie Izydy, oskarżasz więc Arbacesa o zabójstwo Apaecidesa?

— Tak jest.

— Czyś widział spełnienie zbrodni?

— Pretorze... na własne oczy...

— Dosyć na tem! Dalszy bieg rzeczy rozpozna się w przyzwoitszym czasie i miejscu. Jednakże jeszcześ nic nie rzekł, Arbacesie. Słyszałeś oskarżenie; co na nie masz odpowiedzieć?

Wzrok zgromadzenia oddawna był obrócony na

Arbacesa. Gdy rozległ się okrzyk: *Arbaces dla lwa!* opanowało go drżenie, a przez spiżową barwę cery wyraźnie przebijała się bladość; rychło jednak odzyskał wrodzoną dumę i całą władzę nad sobą. Wzgardliwie spojrzał na rozjątrzonych widzów, a zwracając mowę do Pretora, rzekł ze zwykłą sobie nakazującą spokojnością i ciszą:

— Pretorze, to oskarżenie tak niedorzeczne, że prawie na odpowiedź nie zasługuje. Pierwszym oskarżycielem moim jest szlachetny Sallustyusz, najotwartszy przyjaciel Glauka; drugim kapłan Izydy... Szanuję jego odzież i stan... ale, ludu Pompei, znany ci charakter Kalena... Jego chciwość i żądza bogactw poszły w przysłowie... Można kupić świadectwo podobnego człowieka. Pretorze... jestem niewinny!

— Sallustyuszu—rzekł urzędnik — gdzie znalazłeś Kalena?

— W więzieniach Arbacesa.

— Egipcyaninie—rzekł dalej Pretor, marszcząc brwi; ośmieliłeś się więc uwięzić kapłana bogów... Dlaczegożeś to uczynił?

— Słuchaj mię—odpowiedział Arbaces, wstając z niejakiem pomieszaniem. — Ten człowiek przyszedł do mnie i zagroził mi oskarżeniem, jeżeli nie opłacę jego milczenia połową mego majątku .. Czyniłem mu przełożenia, lecz napróżno. Zamilcz, Kalenie! nie dajcie mu przerywać mojej mowy! Szlachetny Pretorze i ty, publiczności!... Wiadomo wam, żem cudzoziemiec w tym kraju... nie popełniłem zbrodni... ale oskarżenie kapłana zgubić mię mogło. W niepe-

wności, co przedsięwziąć, wciągnąłem go do podziemnego sklepienia, pod pozorem, iż w miejscu tem chowałem moje skarby. Chciałem tylko zatrzymać go do czasu, aż istotny winowajca karę poniesie i groźby jego już mi nie zdołają zaszkodzić. Te tylko miałem zamiary; możem pobłądził, lecz kto z was nie wyzna, że pierwszem prawem jest osobista obrona? Jeżelim winien, dlaczego kapłan ten milczał w ciągu procesu? Wtenczas jeszcze nie był uwięziony. Dlaczego nie wyjawił zbrodni mojej, gdy ja oskarżyłem o nią Glauka? Pretorze, nic przeciw temu zarzucić nie można. Zresztą, poddaję się waszym prawom i powierzam się ich opiece. Oddalcie ztąd oskarżonego z oskarżycielem; chętnie ulegnę wyrokom prawego trybunału. Podobna sprawa nie w takiem miejscu rozstrzyganą być winna.

— Ma słuszność—rzekł Pretor; — hola! straże, oddalić Arbacesa i zatrzymać Kalena w pewnem miejscu! Sallustyuszu, czynię cię odpowiedzialnym za oskarżenie twoje. Rozpocząć przerwane igrzyska.

— Jakto! — zawołał Kalenus, obracając się ku ludowi—miałażby Izys być do tego stopnia wzgardzoną? Czyliż krew Apaecidesa napróżno wołać będzie o pomstę? czyliż sprawiedliwość odkładać należy? Czy lew ma być pozbawionym prawego łupu? bóstwo!... czuję, że bóstwo przemawia do was przez moje usta! *Arbaces... Arbaces dla lwa!*

Wycieńczone siły nie podołały dzikiej jego wściekłości; upadł miotany okropnemi konwulsyami; usta pokryły się pianą. Zdawał się w samej rzeczy

nawiedzonym nadprzyrodzoną władzą; lud patrzał i drżał.

— Bóstwo natchnęło świętego człowieka... *Arbaces dla lwa!*

Wydając ten okrzyk, tysiące ludzi powstały z miejsca i, jak potok gwałtowny, ruszyły ku Egipcyaninowi. Przejęty dziką zajadłością, łaknący krwi zbliżał się już tłum gminu ku ławkom znakomitych osób; ale głos Edyla i rozkazy Pretora zgromadziły już w to miejsce zbrojne zastępy straży; słabą jednak zdawała się ta zapora do powstrzymania ożywionej powodzi. Arbaces, przejęty rozpaczą i trwogą wyższą nad moc jego duszy, rzucił wzrokiem na zbliżającą się tłuszczę, gdy nagle, przez rozległy otwór w *velarium* spostrzegł dziwne i straszne zjawisko... spostrzegł... a dowcip jego przebiegły całą mu powrócił odwagę.

Podniósł rękę ku niebu; wspaniałe jego czoło przybrało wyraz powagi i niewysłowionej godności:

— Patrzcie!—wołał głosem grzmiącym i silniejszym nad ryk pospólstwa, patrzcie, jak bogowie bronią niewinności! Ognie boga mściciela powstały na fałszywe świadectwo oskarżyciela mojego.

Pospólstwo obróciło oczy w kierunku, wskazanym przez Egipcyanina i spostrzegło, z niewysłowioną trwogą, na szczycie Wezuwiusza ogromny obłok, wznoszący się ku niebu w kształcie olbrzymiej sosny. Pień jego był czarny a gałęzie z ognia, który już to jaśniał rażącym blaskiem, już przybierał ciemno-czer-

woną barwę, już znowu rozżarzał się światłem, którego wzrok ludzki nie mógł wytrzymać.

Nastąpiło straszne i głębokie milczenie; przerwał je nagle ryk lwa, a za nim rozlegające się w głębi Amfiteatru sroższe jeszcze wycie tygrysa. Były to złowieszcze oznaki ciężkości powietrza i dzikie przepowiednie gniewu nieba!

Ze wszech stron dał się słyszeć krzyk kobiet; mężczyźni z niemem podziwieniem wpatrywali się w straszne zjawisko. W tej chwili zadrżała ziemia pod ich nogami; zachwiały się mury Amfiteatru, a w oddaleniu słychać było łoskot walących się dachów. Nagle wzruszył się obłok góry i jak szybki potok zdawał się toczyć ku widzom; z łona jego wybuchał deszcz popiołów, zmieszany z odłamami skał rozpalonych. Deszcz ten pustoszył winne zarośla, zalegał opuszczone ulice, spadał na Amfiteatr, a nawet dosięgał morza i, sycząc, tonął w nurtach wzburzonych. Lud zapomniał sprawiedliwości i Arbacesa; osobiste niebezpieczeństwo całą myśl jego zajęło. Każdy zaczął uciekać; tłum cisnął się, rozpychał, potrącał. Nieszczęśliwy, kto upadł; wśród jęków, narzekań, krzyków i modłów, został zdeptany tłoczącą się gromadą. Liczne wyjścia Amfiteatru wyzionęły nakoniec zebrane tłumy; ale gdzie szukać schronienia? Jedni, przewidując nowe trzęsienie ziemi, biegli ku swym domom, aby ocalić, dopóki czas jeszcze, kosztowne sprzęty i skarby; inni, chroniąc się przed deszczem gorących popiołów, szukali przytułku pod da-

chem najbliższych domów, w świątyniach, wszędzie, gdzie przed otwartem skryć się mogli powietrzem.

Ale obłok, osłaniający niebo, stawał się coraz ciemniejszym, gęstszym, nieprzeniknionym. Noc nagła powlokła swe cienie; ciemności, straszniejsze od mroku nocnego, całą opanowały okolicę.

ROZDZIAŁ V.

Izdebka niewolnika i miejsce składu ciał zmarłych.— Boleść niedostępna dla trwogi.

Posługacze Amfiteatru odprowadzili Glauka, zaledwie dowierzającego zawieszeniu wyroku, do małej izdebki wewnątrz gmachu. Włożyli nań suknię, a znajomi zbiegali się, aby mu składać powinszowania. Nagle dał się słyszeć krzyk niecierpliwości; tłum rozstąpił się i młoda niewidoma, wiedziona opiekuńczą ręką, rzuciła się do nóg Glauka.

— Ja to cię ocaliłam,—rzekła ze łzami,—teraz mogę już umrzeć.

— Nidyo, moje dziecię .. moja oswobodzicielko!

— Ach! niech dotknę twej ręki... niech uczuję twój oddech! Tak, ty jeszcze żyjesz! Nie zapóźno przybyliśmy! Zdało mi się, że nigdy nie otworzą się te drzwi straszliwe! A Kalenus... ach! głos jego po-

dobny był do wiatru szumiącego pomiędzy grobami; jakżeśmy długo czekali!... bogowie!... nim żywność i wino sił trochę mu powróciły; lecz ty żyjesz jeszcze! i ja... *ja* to cię ocaliłam!

Czułą tę scenę przerwał przytoczony przez nas wypadek.

— Góra! trzęsienie ziemi! — wołano ze wszystkich stron. Służba igrzysk odbiegła z innymi i zostawiono Glauka z Nidyą sam na sam.

W powszechnem niebezpieczeństwie szlachetne serce Ateńczyka wspomniało o Olincie. Dla niego także ręka bogów udzieliła odroczenia wyroku; czyż można zostawić go w bliskiej izdebce, aby poniósł zgon równie prawie srogi, jak od szponów tygrysa! Wziąwszy Nidyę za rękę, Glaukus udał się szybko do więzienia chrześcianina. Olint klęczał i modlił się.

— Powstań, powstań! mój przyjacielu! — zawołał,—uciekaj! oswabadza cię straszna ręka natury.

Wyprowadził z więzienia zadziwionego chrześcianina i ukązał mu obłok, który, zbliżając się i gęstniejąc bez przerwy, zionął coraz nowemi potokami lawy i popiołów.

— Czy słyszysz krzyki i szmer pierzchającego tłumu?

— To ręka Boga!... Niech Bóg będzie pochwalony na wieki!—rzekł pobożnie Olint.

— Uciekaj! Udaj się do twych braci; naradź się z nimi nad sposobem ocalenia się. Bywaj zdrów!

Olint milczał; nie spostrzegł nawet oddalenia się przyjaciela. Jego dusza zatopiła się w uroczy-

stych i wzniosłych myślach, a w zapale serca, nie trwogę w tak okropnej chwili, lecz czuł radość i wdzięczność za okazane mu miłosierdzie Wszechmocnego.

Zaczął w końcu uciekać, chociaż nie wiedział dokąd skierować kroki, gdy nagle spostrzegł przed sobą drzwi otwarte ponurego sklepienia. Wśród głuchej ciemności, paląca się lampa słaby blask rozsiewała wokoło, a to jedyne światło ukazało mu zmarłe i rozciągnięte na ziemi trzy nagie ciała. Zatrzymał się nagle; bo w tem smutnem miejscu, *spoliarium* Amfiteatru, usłyszał jak głos słaby wymawiał imię Jezusa Chrystusa.

Wszedł do sklepienia; nogi jego pośliznęły się we krwi, którą był piasek przesiąkły.

— Kto w tem miejscu wzywa Syna Bożego? — rzekł Nazarejczyk.

Żadnej nie otrzymał odpowiedzi; ale gdy się lepiej rozpatrzył, ujrzał zgrzybiałego starca, na którego kolanach spoczywała głowa zmarłego człowieka. W rysach trupa odznaczało się piętno ostatniego uśpienia, ale na ustach był jeszcze dziki uśmiech; nie był to uśmiech chrześciańskiej nadziei, lecz nienawiści i groźby; a jednak twarz zdobiła jeszcze piękna okrągłość pierwszej młodości. Gęste i świetne włosy spływały na czoło i mech pierwszej młodości porastał na jego wybladłem obliczu. Z oczu starca lały się łzy gorące; kiedy zaś usta wymawiały z nałogu modlitwę pobożności, zdania się na opatrzność, nadziei, serce i rozum nie były w zgodzie ze słowami; w ołtar-

gu duszy, mimowolne wymykało się wzruszenie! Śmierć poniosło jedyne jego dziecię... i serce starca żadnej nie znało pociechy!

— Medonie,—rzekł Olint tonem politowania,— powstań! Bóg ukazał się na skrzydłach żywiołów! potępiona nowa Gomora! uciekaj, nim cię strawią płomienie!

— Był zawsze tak pełen życia!... niepodobna, aby już umarł! Zbliż się tu. połóż rękę na jego sercu!... jeszcze zapewne bije!

— Bracie! dusza już uleciała!... będziemy o niej pamiętać w modlitwach naszych. Nie można ożywić zimnej gliny! Pójdź, pójdź!... czy słyszysz jak walą się mury!... Ani chwili czasu nie mamy do stracenia!... Pójdź!

— Ja nic nie słyszę, — rzekł Medon, wstrząsając białą głową;—to biedne dziecię! zabiła go synowska miłość!

— Pójdź ze mną!... Przebacz tej gwałtowności, ale przyjaźń mię zmusza.

— Jakto! któżby chciał ojca rozłączyć z synem, —rzekł, silnie obejmując ciało i całując je z największą czułością. — Odejdź! — rzekł, podniósłszy głowę na chwilę; — odejdź!... musimy sami pozostać.

— Niestety! — rzekł litościwy Nazarejczyk,— śmierć już was rozłączyła!

Starzec uśmiechnął się spokojnie.

— Nie, nie, nie! — mówił gasnącym głosem, — *śmierć nie tak była okrutną!*

Po tych słowach, głowa jego spadła na piersi

syna; Olint wziął go za rękę; puls ustał! Te ostatnie rzekł słowa strapiony ojciec. *Śmierć nie tak była okrutną!*

Tymczasem Glaukus i Nidya szybko przebiegali niebezpieczne ulice. Ateńczyk dowiedział się od młodej niewolnicy, że Jona była jeszcze w domu Arbacesa. Tam więc biegł, aby ją uratować. Gdy Arbaces, z licznym orszakiem, udał się do Amfiteatru, pozostała w domu zbyt mała liczba niewolników; dla tego zbrojna gromada Sallustyusza żadnego nie doznała oporu. Jak tylko zaczął się wybuch Wezuwiusza, nieliczna garstka domowników skryła się w najustronniejszym zakątku; nawet wysoki murzyn opuścił swe stanowisko u drzwi. Gdy więc Glaukus wszedł do domu, zostawiwszy Nidyę za drzwiami, nietylko nikt mu nie stawił oporu, ale nawet przebiegł rozległą salę wnijścia, nie znalazłszy nikogo, coby mu wskazał izbę Jony. Tymczasem tak gwałtownie powiększały się ciemności, iż zaledwie był w stanie krok naprzód uczynić. Opasane splotami kwiatów kolumny zdawały się wahać na wszystkie strony i rozlegał się co chwila w peristylu szum spadających popiołów i skalistych odłamów; znużony, zadyszany, wszelkie pokonywał trudności, głośno wołając Jony; nakoniec usłyszał głos w niedalekiej galeryi; ona to odpowiadała mu z zadziwieniem. W jednej chwili rzucił się, zgruchotał drzwi, pochwycił ją za rękę i uszedł z domu; lecz zaledwie połączył się z Nidyą, aż dał się słyszeć szelest licznych kroków i poznał głos Arbacesa, który szedł po swe skarby i Jonę

aby z nią razem uciekać nazawsze z Pompei. Tak gęste były wyziewy Wulkanu, iż nie spostrzegli się dwaj nieprzyjaciele, chociaż otarli się prawie o siebie; Glaukus tylko poznał w ciemności długie fałdy białej szaty Egipcyanina.

We troje śpiesznym pobiegli krokiem, ale dokąd udać się, niestety! Tak czarne były ciemności, iż nic już nie widzieli przed sobą. Na wszystkie strony otaczała ich niepewność i okropność; a śmierć, od której ocalał Glaukus, w odmiennej tylko postaci i z większą liczbą ofiar przedstawiała mu się nanowo.

ROZDZIAŁ VI.

Kalenus i Burbo. — Dyomed i Klaudyusz. — Dziewczyna amfiteatru i Julia.

Gwałtowne wzburzenie żywiołów przerwało wszelkie więzy towarzyskie; straż i więźniowie sobie samym byli zostawieni. Kalenus, opuszczony przez wartę, dodaną mu z rozkazu Pretora, pobiegł drżącym krokiem ku świątyni bóstwa swojego. Gdy omackiem starał się rozpoznać w ciemnościach, ktoś pociągnął go za suknię i rzekł mu do ucha:

— Ach! Kalenie!... jaka straszna chwila!

— Na głowę ojca! kto jesteś?... Nie widać rysów twarzy, a głos twój zupełnie mi obcy.

— Nie poznajesz twojego Burba?... to źle!

— Bogowie! jak się powiększają ciemności! Ach! jak okropne błyskawice zionie ta straszna

góra!... *). Hades wywiera na ziemię swoją zajadłość!

— Sądzę, że nie wierzysz w te rzeczy, Kalenie! Słuchaj, oto chwila dogodna do zrobienia majątku!

— Jakto?

— Świątynia twoja pełna złota i monet kosztownych! Zagarnąć je i uciec na morze! Kto nas kiedy pociągnie do odpowiedzialności za to, co uczynimy w podobnej chwili?

— Masz słuszność! Śpieszmy do świątyni. W tak strasznej chwili nikt się nie spyta, czym kapłan. Idź za mną... podzielimy się.

W obrębie świątyni było kilku kapłanów; otaczali ołtarze bogini, modląc się, płacząc i tarzając się po ziemi. Kalenus minął ich i wszedł do izby, którą jeszcze widzieć można w stronie południowej podwórza. Burbo udał się za nim; kapłan zapalił lampę. Wino i rozmaite potrawy, ostatki świeżo odbytej ofiary, zastawione były na stole.

— Kto od czterdziestu ośmiu godzin umiera z głodu,—rzekł Kalenus,—ten może jeść z apetytem, nawet w podobnej chwili.

To mówiąc, zaczął pożerać znalezioną strawę.

— Kiedy nareszcie skończysz? — rzekł Burbo

---

*) Błyskawice wulkaniczne; wybuch z roku 1779 odznaczał się szczególniej tym fenomenem, a liczne jego ślady w wybuchu, który opisujemy, są dotąd jeszcze widzialne.

zniecierpliwiony, — twarz twoja granatowa, a oczy wyłażą ci z głowy.

— Niezawsze tak głodnym być można. O, Jowiszu! cóż to za hałas? Jakby świst wrzącej wody. Jakto! miałażby góra zionąć jeszcze i wodę? Ach! co znaczą te krzyki?.. Jak się nagle wszystko uspokoiło! proszę cię, Burbo, wyjrzyj na dwór!

Góra zaczynała w tej chwili wyrzucać w powietrze kolumny wrzącej wody. Jej potoki, zmieszane z rozpalonym popiołem i podobne do gorejącego błota, gwałtownie zalewały ulice; jeden wytrysk tej wody, połączony z ogromnemi bryłami żużlów, wziął kierunek ku miejscu, w którem kapłani Izydy otaczali ołtarze, napróżno usiłując rozniecić ogień i zapalić bogom kadzidła. Potok dosięgnął klęczących. Krzyk, usłyszany przez Kalena, był jękiem ich skonu, a cichość milczeniem wieczności! Czarny potok i popioły pokryły ołtarze, posadzkę i zagrzebały w połowie drgające jeszcze trupy kapłanów.

— Umarli,—rzekł Burbo, szybko wracając do izby, po raz pierwszy istotną przejęty trwogą. — Nie mniemałem, aby tak bliskie i tak straszne było niebezpieczeństwo.

Dwaj nędznicy przypatrywali się sobie w okropnem milczeniu; możnaby liczyć uderzenia ich serc! Kalenus, lubo mniej śmiały, więcej jednak chciwy od Burba, pierwszy odzyskał przytomność.

— Uczyńmy, co zamierzyliśmy i uciekajmy,— rzekł cicho, jakby przerażony dźwiękiem własnego

głosu. Postąpił naprzód, zatrzymał się, przeszedł rozpaloną posadzkę, depcąc ciała umarłych swych braci i udał się do świętej kaplicy, wołając, aby Burbo szedł za nim; ale gladyator postradał odwagę i cofnął się.

— Tem lepiej,— pomyślał Kalenus, — z nikim nie będę się dzielił.

Zgarnął szybko łatwe do uniesienia kosztowności i, nie myśląc o towarzyszu, oddalił się z świętego miejsca. Burbo, stojący u progu, spostrzegł, przy świetle błyskawicy, jak kapłan uciekał obarczony łupem. Ośmielił się i udał się za nim, gdy nagle straszliwa masa popiołów upadła tuż przed jego nogami. Cofnął się raz jeszcze gladyator. Ciemności otaczały go na wszystkie strony, bo deszcz popiołów wzmagał się coraz silniej i zionął duszącą parę. Napróżno silił się oddychać nieszczęśliwy Burbo; w ostatniej rozpaczy chciał znowu uciekać; ale drzwi zasypały popioły. Krzyknął. Jak ratować się? żadnego środka dostania się na otwarte powietrze; musiał powrócić do izby, gdzie przynajmniej nie doszły jeszcze duszące wyziewy. Usiadł więc i ścisnął zęby. Zwolna zjadliwa para zaczęła przenikać do izby; już nie mógł dłużej wytrzymać, a gdy obłąkanemi oczyma okrążał otaczającą go przestrzeń, spostrzegł ofiarny topór, zostawiony w tem miejscu przez jednego z kapłanów; pochwycił go, a z rozpaczą i siłą olbrzymiej ręki usiłował sobie drogę utorować przez mury.

Tymczasem na ulicach już przerzedzały się

tłumy; czasami tylko słychać było jeszcze błędne kroki uciekających, a wybladłe ich i strwożone oblicza ukazywały się wtedy tylko, gdy blask zielonawy błyskawic pozwalał na chwilę rozróżniać przedmioty.

Ulicą, wiodącą do bramy Herkulanum, szedł Klaudyusz niepewnym i chwiejącym się krokiem.

— Gdybym mógł dostać się za miasto, — rzekł do siebie, — znalazłbym bezwątpienia za bramą wielką liczbę powozów, i niedaleko do Herkulanum. Dzięki Merkuremu, niewiele już teraz posiadam, a i to mam przy sobie.

— Hola! na pomoc! na pomoc! — wołał głos żałosny i przerażony. — Upadłem, zgasła mi pochodnia i opuścili mię niewolnicy; jestem Dyomed, bogaty Dyomed! Dwa tysiące sesterców temu, kto poda mi rękę!

W tej chwili uczuł Klaudyusz, jak ktoś go chwycił za nogę.

— Puść mię, nieszczęsny! pozwól mi odejść! — rzekł Klaudyusz.

— Ach! dopomóż mi wstać... daj rękę.

— Masz ją, wstań!

— Czy to Klaudyusz? Poznaję głos jego. Dokąd uciekasz?

— Do Herkulanum.

— Niech będą pochwaleni bogowie! idziemy jedną drogą, przynajmniej aż do bramy miasta. Lecz dlaczego nie mielibyśmy schronić się w moim domu

letnim? Wszakże znasz długi szereg podziemnych sklepień, jaki się tam znajduje; będziemy przynajmniej zasłonieni od deszczu popiołów.

— Masz słuszność,— rzekł Klaudyusz, — zgromadziwszy bowiem w tych sklepieniach dosyć żywności, będziemy mogli pozostać tam przez dni kilka, jeżeli długo trwać będą te straszliwe burze.

— Niech będą pochwaleni ci, co wynaleźli bramy miasta!—zawołał Dyomed. — Patrz, umieszczono latarnię w arkadzie, jej światło wskaże nam drogę.

Na chwil kilka uspokoiło się powietrze; światło latarni daleko oświecało drogę; uciekający śpiesznym udali się krokiem... zbliżyli się do bramy, w której stał żołnierz na straży; błyskawica oświecała wybladłą twarz jego i odbiła się o blask wypolerowanego szyszaku; śród trwogi powszechnej, z surową twarzą pozostał nieruchomy na stanowisku. Napróżno wrzały około niego żywioły i trzęsła się ziemia; stał na miejscu, bo nie dano mu pozwolenia opuścić je i życie ratować ucieczką *).

Nagle zbliżyła się kobieta do Dyomeda i jego towarzysza; była to dziewczyna, którąśmy kilka razy widzieli cieszącą się nadzieją miłego widowiska.

— O Dyomedzie! — zawołała, — błagam cię o schronienie! Czy widzisz dziecię u łona mojego? to dziecię hańby! Kryłam się z niem dotychczas, ale te-

---

*) Znaleziono w samej rzeczy w bramach miasta kilka kościotrupów żołnierzy, postawionych na straży.

raz przypomniałam sobie, żem matką! Kobieta, której je powierzyłam, uciekła; w podobnej chwili pamiętać tylko może o dziecku ta, która go w swojem łonie nosiła! Panie! ratuj je! zaklinam cię, na bogi!

— Niech będzie przeklęty twój głos przenikliwy! Idź precz, niegodna!—zawołał Klaudyusz.

— Nie, zostań, dziewczyno, — rzekł Dyomed, więcej mający ludzkości, — idź z nami, jeżeli chcesz, schronimy się w sklepieniach!

Zbliżywszy się do domu Dyomeda, wydali głośny śmiech; mniemali bowiem, że już uszli niebezpieczeństwa.

Dyomed, kazawszy niewolnikom znieść do piwnic obfity zapas żywności i oliwy do lamp, schronił się w nich z Julią, Klaudyuszem, młodą matką z swem dzieckiem, większą liczbą niewolników i kilku sąsiadami z pobliskich domów.

ROZDZIAŁ VII.

Postęp zniszczenia.

Obłok, rozpościerający zasłonę nad miastem, zamienił się na zbitą i nieprzeniknioną masę; panowały ciemności już nie pochmurnej i czarnej nocy, lecz szczupłej i zewsząd zamkniętej izby; *) ale błyskawice Wulkanu coraz jaśniejszą i żywszą przybierały postać. Nie były to zwykłe barwy płomienia; nigdy tęcza nie ukazywała tak świetnych i rozmaitych kolorów; niekiedy jaśniały ciemnym błękitem, jak najpiękniejsze niebo w klimacie południowym; niekiedy przybierały kolor blado-zielonawy, jak łuska ogromnego węża; czasami miały blask czerwono-jaskrawy, którego wzrok nie mógł wytrzymać; rażąca jasność

---

*) Plinjusz.

przedzierała się przez rozległe kolumny dymu, całe oświecała miasto i, gasnąc stopniowo, zamieniała się w śmiertelną bladość, ukazując jakby widmo własnego istnienia.

W przerwach wybuchów rozlegał się huk wzruszonych wnętrzności ziemi albo bałwanów rozhukanego morza; gdy chwilowa wracała cisza, ucho osłupiałego mieszkańca uderzał świst gazu, przedzierającego się przez rozpadliny straszliwej góry. Niekiedy zbita masa chmury zdawała się rozpadać, a przy świetle błyskawic ukazywały się dziwaczne kształty ścigających się nawzajem i po chwili znikających w burzliwej otchłani cieni ludzi i potworów; w oczach i wyobraźni strwożonych przechodniów, te cienie bez ciała zdawały się olbrzymiemi wrogami, posłannikami trwogi i śmierci*)

Już w wielu miejscach popioły dochodziły do kolan i deszcz wrący Wulkanu przenikał do domów, niosąc z sobą duszące wyziewy. Tu i owdzie zalegały ulice gruzy domów rozwalonych ogromnemi odłamami skał; coraz wyraźniej czuć się dawało trzęsienie; ziemia zdawała się uginać pod nogami; na najrówniejszej przestrzeni, ani wóz ani lektyka nie mogły zachować równowagi.

Czasami ogromne kamienie spotykały się w rzucie, krusząc się na niezliczone części i zionąc iskry, które zapalały wokoło wszystkie palne przedmioty.

**) Dyon Kassyusz.

Ciemność ustąpiła miejscami, ale tylko od pożaru domów i winnic, którego światło przedzierało się przez powłokę czarnego obłoku. Nadto paliły się tu i ówdzie pochodnie, które obywatele Pompei umieszczali bez przerwy w portykach świątyń, w przysionkach forum i we wszystkich zakrytych miejscach; rzadko jednak światło ich mogło się utrzymać; wiatr z deszczem gasił je co chwila, a wzmagająca się potem ciemność była nowym dowodem bezskuteczności usiłowań człowieka, aby tak groźnego uniknąć niebezpieczeństwa.

Często, przy blasku znikomych tych pochodni, spotykały się gromady uciekających; jedne z nich zmierzały ku morzu, inne wracały od morza w głąb ziemi; bo Ocean cofnął się od brzegu; głębokie ciemności okrywały jego powierzchnię; na jego wzburzonych bałwanach nic zasłonić nie mogło od potoku popiołów i kamieni; tymczasem na ziemi tu i ówdzie napotykano ochronne miejsca. Gromady te mijały się, nie zatrzymując się, nie mówiąc do siebie, nie naradzając się nad sposobem ratunku; bo pociski Wulkanu gasiły pochodnie, których światło było ich przewodnikiem; każdy nadto śpieszył do najbliższego przytułku. Znikły wszelkie żywioły cywilizacyi; obok urzędnika sprawiedliwości, szedł złodziej obarczony łupem. Jeżeli w ciemnościach mąż rozłączył się z żoną, ojciec z dzieckiem, jużby napróżno usiłowali szukać siebie nawzajem. Każdy biegł, jak ślepy i bez porządku; z całego bytu towarzyskiego zostało to tylko, co życie w stanie dzikości odznaczać zwykło: pierwotne prawo własnego ocalenia.

Śród tej straszliwej sceny Ateńczyk torował sobie drogę, w towarzystwie Jony i młodej niewidomej. Nagle nadbiegła udająca się do morza gromada kilkuset ludzi; Nidya odłączona została od Glauka, którego wraz z Joną uniosły naprzód szybko uciekające tłumy. Gdy spostrzegł, iż młoda niewolnica została, wołał ją po imieniu, zatrzymał się, powrócił znów, wszędzie czynił poszukiwania, lecz napróżno. Widoczną było rzeczą, iż pierzchające tłumy w przeciwną uprowadziły ją stronę. Postradali najlepszą przyjaciółkę, jedynego przewodnika w obłędzie; dotychczas bowiem Nidya ukazywała im drogę; *ona jedna nie potrzebowała światła, aby przechodzić znane już miejsca.* Przywykła w wiecznej ciemności przebiegać ulice miasta, wiodła ich niemylną drogą ku morzu, na którem szukać postanowili schronienia. Teraz w którą skierować się stronę? Otaczał ich nierozwikłany labirynt. Znużeni, obłąkani, przejęci rozpaczą, szli zawsze naprzód, chociaż na ich głowy sypały się bez przerwy popioły, a padające przed nogami kamienie iskry rozrzucały wokoło.

— Niestety! — zawoła Jona, nie mogąc iść dalej; nogi moje grzęzną w rozpalonych popiołach. Uciekaj, mój ulubiony, uciekaj, i zostaw mię przeznaczeniu mojemu.

— Zamilcz, droga małżonko! śmierć przy tobie słodszą nad życie bez ciebie! Wielcy bogowie! dokąd iść w takich ciemnościach? Zdaje mi się, że zawsze krążymy wokoło, i żeśmy znowu tu właśnie, gdzie byliśmy już przed godziną.

— O nieba! ta skała.... dach skruszyła przed nami. Śmierć niewątpliwa nas czeka, jeżeli dłużej na ulicy pozostaniemy.

— Błoga błyskawico! Śpieszmy, Jono! tuż przy nas portyk świątyni Fortuny. Schrońmy się pod nim; on nas zasłoni.

To mówiąc, wziął kochankę na ręce i z trudnością dostał się do świątyni, a umieściwszy ją w najustronniejszym zakątku portyku, własnem jeszcze osłonił ją ciałem od deszczu kamieni i wody wrącej.

— Kto tam?—ozwie się tuż przy nich głos drżący i chrapowaty;—lecz co mi do tego; gdy świat się wali, niema już przyjaciół i nieprzyjaciół.

Na ten głos obróciła się Jona; wnet potem słabo krzyknęła i twarz ukryła na łonie Glauka. Gdy ten skierował wzrok ku stronie, w której głos dał się słyszeć, poznał zaraz przyczynę jej przestrachu. Iskrzące się oczy jaśniały w ciemnościach, a gdy nowa błyskawica oświeciła otaczającą przestrzeń, Glaukus spostrzegł z przerażeniem, między kolumnami, lwa, któremu skazany był na pożarcie; tuż przy nim leżał olbrzymi Niger, nie wiedząc bynajmniej o bliskości zwierzęcia.

Przy tej błyskawicy, zwierz i człowiek poznali się; lecz wrodzone im skłonności były uśpione. Lew nawet zbliżył się do gladyatora, jakby unikając samotności, a gladyator nie cofał się i nie obawiał się, bo straszne wstrząśnienie natury czyniło go niebacznym na wszystko.

Tymczasem zbliżała się do świątyni gromada

mężczyzn i kobiet, niosąc w ręku pochodnie; byli to Nazarejczykowie. Na ich twarzach malowało się szczytne uczucie, bez żadnego śladu trwogi. Mniemali oni, że otaczające ich wstrząśnienie natury było spełnieniem przepowiedni chrześciańskiej o skończeniu świata.

— Biada! biada! — wołał głosem wyniosłym idący na czele gromady Nazarejczyk! nadchodzi Pan, aby nas sądzić! jego ręka w oczach śmiertelnika, z wysokości niebieskich spuszcza ogień na ziemię! Biada wam, możni i bogacze świata! biada okrytym purpurą i dostojeństwy! biada bałwochwalcy i czcicielowi zwierzęcia! Biada szafującym krwią świętych i napawającym się widokiem skonu sług Boga! Biada złym i nielitościwym!... biada! biada!

Nazarejczykowie powolnym oddalili się krokiem; ich pochodnie rzucały w ciemnościach blask chwiejący się i słaby, a głosy ich powtarzały groźby i uroczyste ostrzeżenia, aż nim cała gromada znikła w zakrętach ulic; milczenie śmierci znowu panować zaczęło.

Nastąpiła jedna z częstych dosyć przerw w deszczu popiołów, i raz jeszcze Glaukus nakłonił Jonę, aby w dalszą udać się drogę. Gdy zeszli na ostatni stopień portyku, spostrzegli przed sobą starca; opierał się na młodym człowieku i szedł z trudnością, niosąc wór w ręku. Byli to znajomi Glauka: skąpy ojciec z marnotrawnym synem.

— Ojcze, — rzekł młody człowiek, jeżeli nie

możesz iść prędzej, będę musiał cię opuścić; inaczej zginiemy obaj!

— Uciekaj więc, synu, i zostaw ojca twojego.

— Mamże uciekać, abym umarł z głodu? daj mi twój wór ze złotem...

To mówiąc, chciał wydrzeć skarb z ręki starca.

— Nędzniku! śmiałżebyś ogołocić ojca?

— Mniejsza o to! kto mię oskarży w podobnej chwili? Umieraj, skąpcze!...

To rzekłszy, obalił starca, wydarł wór z osłabionej ręki, i uciekł, wydając krzyk ostry.

— Wielcy bogowie! — zawoła Glaukus, — czyż i wy nie widzicie w ciemnościach? Miałżeby w powszechnem zaburzeniu podobny zbrodzień ginąć razem z niewinnym? Idźmy! Jono, idźmy!

ROZDZIAŁ VIII.

Arbaces spotyka Glauka i Jonę.

Ostrożnie i omackiem, jak niewolnicy uciekający z więzienia, nasi kochankowie szli dalej niepewną swą drogą. W chwilach, gdy błyskawice Wulkanu oświecały ulice, oczom ich przedstawiał się nie nader ośmielający widok. Tam, gdzie popioły były suche i nie zmieszane z potokami wody, którą co chwila zionęła góra, powierzchnię ziemi okrywała biaława bladość trądu; gdzieindziej, wznosiły się stosy ogromnym żuzlów i skał, a z pod nich, tu i owdzie, ukazywały się członki zgniecionych ofiar. Jęki umierających przerywały tylko rozlegające się już blisko, już w oddaleniu, krzyki strwożonych kobiet, którym, w nieprzejrzanej ciemności, nikt żadnego nieść nie mógł ratunku. Nad wszystko jednak silniej przemagał huk potoków, burzy i coraz nowych wybuchów

straszliwej góry. Ile razy zawiał wiatr silniejszy, ulice napełniały się kurzem rozpalonym i duszącemi wyziewami, od których każdy tracił natychmiast oddech i czucie.

— O Glauku!... luby małżonku, daj mi ostatni pocałunek!.... Przyciśnij mię do serca, abym przynajmniej w twoich umarła objęciach!.... Dłużej już nie wytrzymam.

— Przez miłość dla mnie... jeszcze nieco odwagi, droga Jono.. Pomnij, że życie moje nieoddzielne od twego; patrz... pochodnie... zbliżają się ku tej stronie! Jak opierają się wiatrom... burza ich nawet nie gasi! są to zapewne mieszkańcy, którzy uciekają ku morzu!... Połączmy się z nimi.

Jakby dla ośmielenia kochanków, nagła nastała cisza; powietrze zupełnie uspokoiło się; góra zdawała się odpoczywać dla nabrania sił do nowego wybuchu. Niosący pochodnie, szybko postępowali naprzód.

— Zbliżamy się już do morza,—dał się słyszeć głos spokojny osoby idącej na czele. Wolnością i bogactwy obdarzę każdego niewolnika, który dzień dzisiejszy przeżyje. Powtarzam wam, iż sami bogowie przyrzekli mi ocalenie. Idźmy, śmiało!

Pochodnie żywym blaskiem oświeciły Glauka i wspartą na jego rękach drżącą Jonę. Gromada niewolników niosła ciężko ładowne kufry i kosze; na ich czele, z obnażonym mieczem w ręku, ukazywała się wyniosła postawa Arbacesa.

— Na popioły ojców!—zawoła Egipcyanin,—

przeznaczenie uśmiecha się do mnie: nawet śród okropnego widoku zniszczenia i śmierci przyrzeka mi miłość i powodzenie. Precz ztąd, Greku, dopominam się o swoją wychowanicę!

— Zdrajco i mordercol — zawoła Glaukus, mierząc ognistym wzrokiem nieprzyjaciela;—Nemezis cię tu przywiodła, aby zemstę moją nasycić! abyś z ręki mojej padł sprawiedliwą ofiarą cieniom piekieł, które się srożą na ziemię. Zbliż się i dotknij tylko Jony, a skruszę broń tę jak wątłą trzcinę, i członki twoje poszarpię na sztuki.

Gdy to mówił, żywe światło czerwone na całej zajaśniało przestrzeni. Olbrzymia góra, ognistą rozżarzona masą, wznosiła się w łonie otaczających ją, nakształt szańców piekielnych, ciemności! Wierzchołek jej zdawał się rozpłatanym na dwoje, albo, mówiąc właściwiej, na jej szczycie, ukazywały się stojące naprzeciw siebie dwie potworne postaci, jak dwa czarty walczące o świat. Cała przestrzeń widocznie krwawym jaśniała kolorem, ale podstawa góry była jeszcze ciemną i osłonioną, wyjąwszy miejsca, w których płynęły wężykowato trzy strumienie stopionej lawy, tocząc ciemnoczerwone bałwany ku miastu potępionemu. Nad najszerszym z trzech, wznosiła się olbrzymia i nieszykowna arkada, z której wypływał ów potok, jak Flegeton z ujścia piekieł. W powietrzu rozlegał się huk ogromnych odłamów skał, które porywały z sobą ogniste katarakty; te czarne masy już zasłaniały światło, już przybierały same płomieniste barwy potoku, po którym płynęły.

Trwożliwie krzyczeli niewolnicy, kryjąc twarze w połach od sukien; stanął nieruchomy sam nawet Egipcyanin; blask ognia oświecał jego nakazujące oblicze i szatę okrytą klejnotami. Za nim wznosiła się wysoka kolumna, na której stał posąg Augusta ze spiżu; cesarski wizerunek zdawał się zionąć ogniem.

Glaukus lewą ręką otaczał stan Jony, prawą zaś, uzbrojoną sztyletem, którym miał walkę zwieść ze lwem, trzymał podniesioną do góry. Czekł na Egipcyanina z zachmurzonem czołem, z obliczem, malującem całą srogość najzajadlejszej namiętności ludzkiej.

Oczy Arbacesa odwróciły się od góry i zatrzymały się czas niejaki na Glauku. Był niepewny przez chwilę, potem rzekł:

— Dlaczegóżbym wahał się? czyż gwiazdy nie przepowiedziały mi jednego tylko niebezpieczeństwa, a to czyliż już nie przeszło?... Mężna dusza gardzi zniszczeniem świata i gniewem urojonych bogów! Dla zaszczytu tej duszy chcę być zwycięzcą do końca! Zbliżcie się, niewolnicy!... Ateńczyku, jeżeli trwać będziesz w uporze, sam krew własną przelejesz! Biorę Jonę, która do mnie należy!

Postąpił krok naprzód.. był to ostatni krok jego w tem życiu! ziemia wstrzęsła się z gwałtownością, wszystko wywracającą na jej powierzchni, jednocześnie rozległ się po mieście łoskot walących się dachów i kolumn! Błyskawica, jakby zwabiona kruszcem, zatrzymała się chwilę na cesarskim posągu, a spiż i podstawa rozpadły się na tysiące części! Gruzy rozsypa-

ły się: huk ich upadku po dalekich rozlegał się ulicach. Spełniło się proroctwo gwiazd!

Ten huk odurzył Ateńczyka; gdy przyszedł do siebie, światło jeszcze jaśniało i trzęsła się wzburzona ziemia! Jona leżała bez zmysłów; lecz jej nie widział; wzrok jego ujarzmiała ukazująca się z pod odłamu skruszonej kolumny twarz grobowa bez ciała i członków. Malował się na niej wyraz boleści, konania, rozpaczy niepodobnej do opisania. Oczy otwierały się i zamykały, jak gdyby zmysły jeszcze nie postradały swej władzy; usta drżały i otwierały się z konwulsyjnym uśmiechem; nakoniec wyraz nieruchomej i trudnej do zapomnienia okropności opanował martwe rysy tej twarzy.

Tak zginął uczony Mag, — wielki Arbaces, — Hermes o płomienistym pasie,—ostatni odrostek królów Egiptu.

ROZDZIAŁ IX.

Rozpacz kochanków.—Położenie ludu.

Glaukus, przejęty wdzięcznością i przerażeniem, wziął Jonę na ręce i pobiegł oświeconą jeszcze ulicą. Nagle cień gęsty zasłonił powietrze. Mimowolnie obrócił oczy ku górze: o, cudowny widoku! jeden z dwóch olbrzymich przedziałów jej szczytu poruszał się i wahał na wszystkie strony; potem, z łoskotem, którego żadne usta nie potrafią wysłowić, oderwał się od swej gorejącej podstawy i rzucił się ze szczytu góry jak ognista lawina. W tejże chwili, masa czarnego dymu roztoczyła się kłębami po powietrzu, nad morzem i ziemią.

Nowy deszcz popiołów, za nim drugi i trzeci, obfitszy nierównie nad poprzedzające, rozpostarł znowu po ulicach zniszczenie. Ciemności jakby czarną zasłoną nanowo okryły miasto. Wytrwałe w męztwie

serce Glauka uległo nakoniec rozpaczy; usiadł pod zasłoną arkady i, ciskając Jonę do serca.... Jonę, swą małżonkę, na łożu zwalisk przygotował się na śmierć.

Tymczasem Nidya napróżno szukała Glauka i Jony, napróżno usiłowała się z nimi połączyć. Krzyk jej rozpaczy ginął śród powszechnej wrzawy, trwogi i samolubstwa. Wielokrotnie wracała ku miejscu, gdzie z nimi się rozłączyła; przyłączyła się do każdego z uciekających, pytając się o Glauka; zewsząd odpychała ją niecierliwość rozpaczy. Kto w chwili podobnej mógł się kim innym zajmować? Przyszło jej w końcu na myśl, że idąc ku brzegom morza, najprędzej napotka swych przyjaciół, ponieważ tam postanowili szukać schronienia. Wsparta na swym kiju, z niepojętą zręcznością unikała zawadzających drogę stosów rozwalin i gruzów, i dzięki nawyknieniu tak bolesnej w biegu życia wiecznej ciemności, w najprostszym kierunku udała się do brzegów morza.

Biedne dziewczę! jak piękna była jej odwaga! Same nawet losy zdawały się sprzyjać nieszczęsnej i opuszczonej istocie. Omijały ją ogniste potoki; ogromne odłamy zastygłego kruszcu wszystko kruszyły wokoło, lecz nie tykały jej słabych członków; co chwila, otrząsała z siebie drobne popioły i bez bojaźni szła dalej *), gdy drogę zastąpił jej

*) „Padał na nas deszcz gęsty popiołów i byliśmy zmuszeni otrząsać się co chwila, aby nie zostać zagrzebanymi". *Pliniusz.*

tłum ludzi. Nad wszystkimi górowała postać Olinta, z podniesioną do góry prawicą, z czołem prorockie malującem natchnienie. Strwożona tłuszcza poznała człowieka, skazanego przez siebie na pożarcie tygrysa, niegdyś ofiarę swoją, a teraz proroka. Śród powszechnego milczenia, głos jego dał się słyszeć:

Nadeszła godzina!

Słowa te powtórzyli chrześcianie, a za nimi lud cały; rozległy się po wszystkich stronach; mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy powtórzyli głuchym i smutnym głosem:

Nadeszła godzina!

W tej chwili rozległ się w powietrzu ryk dziki; okropny tygrys afrykańskich pustyń, usiłujący tylko uciekać, rzucił się w środek tłumu i biegł na oślep. Zatrzęsła się ziemia i znowu świat ogarnęły ciemności!

Tymczasem nowi nadbiegli ludzie; byli to niewolnicy Arbacesa, którzy już skarby jego zagarnęli dla siebie. Jedna się tylko paliła pochodnia. Niósł ją Sozya, a ten przy blasku jej poznał Tessaliankę.

— Na co ci teraz przyda się wolność, młoda niewolnico? — rzekł Sozya.

— Kto jesteś?... Czyś nie widział Glauka?

— Tak jest; widziałem go przed chwilą.

— Niech cię błogosławią bogowie! gdzie go widziałeś, mów prędzej!

— Leżał, umarły czy umierający, pod arkadą forum!... Już teraz pewno poszedł za Arbacesem, który nie żyje!

Nidya, nie rzekłszy ani słowa, zwolna oddaliła się od Sallustyusza; milcząc, ominęła zgromadzone tłumy i wsteczną ku miastu udała się drogą. Przybyła do forum; nachyliła się przy arkadzie; ręką wiodła wokoło siebie; wymówiła imię Glauka. Głos słaby odpowiedział:

— Kto mię woła? głos-że to cieniów? Jestem gotów.

— Wstań! pójdź ze mną! weź moją rękę! Glauku, zostaniesz ocalonym.

Przejęty podziwieniem i nagłą nadzieją, Glaukus podniósł się.

— Zawsze Nidya! Ach! ty więc jesteś bezpieczną!

Malująca się w głosie jego czułość i radość przeniknęła do serca biednej Tessalianki: błogosławiła go, iż o niej myślał w podobnej chwili.

Już niosąc, już wlokąc Jonę, Glaukus szedł za swoją przewodniczką. Nidya, z godną podziwienia przezornością, omijała ścieżkę, wiodącą do zgromadzonych nad morzem tłumów, i inną drogą skierowała się ku brzegom.

Po wielu wytrwale zwyciężanych przeszkodach, zbliżyli się nakoniec do morza, i połączyli się z gromadą osób, które postanowiły na wszystkie wysta-

wić się niebezpieczeństwa, byleby tylko oddalić się z miejsca tak okropnego zniszczenia. Wsiedli na statek i popłynęli, a im więcej oddalali się od brzegów, tem czerwieńszą przybierała barwę przestrzeń oświecona ognistym wyziewem góry.

Jona, wycieńczona znużeniem, usnęła na łonie Glauka, a u nóg ich siadła Nidya. Ciągle padał do morza nieustający deszcz popiołów, i łódź okrywał jakby rodzajem śniegu. Deszcz ten, niesiony wiatrem, dosięgał najoddaleńszych krajów; zadziwił czarnego Afrykanina i osypał grunt starożytny Egiptu i Syryi. *)

---

*) Dyon Kassyusz

ROZDZIAŁ X.

Poranek dnia następnego. — Los Nidyi.

Na drżącej przestrzeni wód ukazała się nakoniec piękna, łagodna, powabna jutrzenka. Wiatry usypiały; zniknęła piana na modrej powierzchni tego rozkosznego morza.

Podnosząca się mgła lekka na wschodzie przybierała zwiastującą poranek różową barwę; światło już odzyskiwało swą władzę. Jeszcze jednak ukazywały się w oddaleniu złowieszcze chmury, a na ich ciemnej powierzchni jaśniały czerwone kolumny zwiastujące ognie, któremi jeszcze płonęła straszliwa góra. Znikły już białe mury i świetne kolumny, które zdobiły niegdyś te powabne brzegi. Cała okolica w martwej i ponurej ukazywała się postaci. Herkulanum i Pompeja, te ulubione córy morza, wydarte z jego uściśnień! Naprożno przez długie pasmo wieków wyciągać będzie swe modre ramiona i płakać nad grobem straconych dzieci!

Majtkowie nie wydali zwykłych okrzyków radości na widok jutrzenki: zbyt byli strudzeni, aby się mogli poddawać podobnym uniesieniom. Spojrzeli tylko po sobie, wyrzekli zcicha modły dziękczynne, a czując nanowo, że jest świat i Bóg w niebiosach

całą odzyskali odwagę! Przekonani, że przeszło największe niebezpieczeństwo, rychło głęboko usnęli. Z rodzącym się dniem, odrodziło się i milczenie, na którem zbywało upłynionej nocy, i okręt spokojnie żeglował ku miejscu przeznaczenia. Tu i owdzie inne statki niosły także uciekających. Widok ich masztów wyniosłych i białawych żagłów rozniecał uczucie bezpieczeństwa, braterstwa, nadziei. Może te lekkie łodzie unosiły także do spokojnego ustronia ocalonych przyjaciół!

Gdy wszystko pogrążyło się we śnie głębokim, Nidya wstała ostrożnie. Nachyliła się ku twarzy Glauka; ze smutkiem i bojaźnią ucałowała jego czoło i usta; szukała potem ręki; lecz w dłoni jej była ręka Jony. Nidya westchnęła głęboko. Raz jeszcze ucałowała czoło Glauka i otarła włosami swemi okrywającą je rosę.

— Ateńczyku, niech cię błogosławią bogowie!— rzekła cicho do siebie; — o gdybyś wspomniał czasem o Nidyi! Niestety! ona już na nic niepotrzebna na ziemi!

To rzekłszy, oddaliła się. Zwolna przeszła na drugą stronę i wstąpiła na sztabę statku; tu nachyliła się ku fali wodnej i świeża piana okryła jej gorejące czoło.

— To pocałunek śmierci; przyjmuję go z radością.

Balsamiczne powietrze igrało z puklami jej włosów; odrzuciła je na stronę, a wznosząc czułe swe oczy ku niebu, którego błękitu nigdy nie widziała w swem życiu — rzekła z namyśleniem:

— Nie, nie, dłużej nie mogę wytrzymać; ta miłość tak zazdrosna, tak wymagająca, wzburza duszę moją i pozbawia mię rozumu! Mogłabym mu znowu zaszkodzić... nieszczęsna, cóżem uczyniła? lecz ocaliłam go... tak jest, dwa razy... o błoga myśli!... Pragnę umrzeć w chwili, gdym szczęśliwa.. Ostatnia to w życiu mojem myśl słodka. O święte morze! słyszę, jak głos twój mię wzywa... głos twój słodszy nad moją boleść. Mówią, że uściśnienia twoje okrywają niesławą; że ofiary twoje nie przebywają złowieszczego Styksu... Mniejsza oto!... Nawet nie chcę go widzieć śród cieniów, bo jeszcze byłby *z nią* razem! Spoczynek! spoczynek! to jedyne dobro dla serca mojego!

Majtek, śpiący na pokładzie, usłyszał lekki szelest, jakby ciała wpadającego do wody; w półprzebudzony, spostrzegł, jak fale za statkiem coś unosiły białego; rychło widzenie to znikło w nurtach głębokich. Obrócił się na drugą stronę i widział we śnie dom swój i dzieci.

Gdy kochankowie przebudzili się, pierwsza ich myśl była o sobie, druga o Nidyi! Nigdzie jej nie znaleziono. Szukano we wszystkich zakątkach statku, lecz napróżno. Tajemnicza od początku do końca, niewidoma Tessalianka, znikła na zawsze! Glaukus i Jona domyślili się jakie spotkało ją przeznaczenie, a więzy ich współczucia bardziej się jeszcze utrwaliły, bo jedno dla drugiego byli już światem całym; opłakiwali jednak Nidyę, jak siostrę.

ROZDZIAŁ OSTATNI,

W KTÓRYM SIĘ WSZYSTKO SKOŃCZYŁO.

List Glauka do Sallustyusza. — Dziesięć lat po zniszczeniu Pompei.

„Glaukus lubemu Sallustyuszowi życzy zdrowia.

„Prosisz mię, abym cię w Rzymie odwiedził... Przybądź raczej do Aten, mój Sallustyuszu! Na zawsze już rozstałem się z cesarskim grodem, jego rozległym zgiełkiem i czczemi rozkoszami. Resztę życia przepędzę w swojej ojczyźnie. Cień zgasłej wielkości naszej droższy dla mnie nad pyszne życie waszej pomyślności obecnej. W portykach, uświęconych wspomnieniami starożytnemi, jest urok, któregobym napróżno szukał gdzieindziej. Tu tylko słyszę jeszcze głos poezyi w oliwnych gajach Ilissu. Twierdzisz, że niepodobna, abym był szczęśliwym na

gruzach dawnej wielkości. Rozprawiasz z uniesieniem o wspaniałości Rzymu i przepychach cesarskiego dworu. Drogi Sallustyuszu, już nie jestem czem byłem. Przebyte koleje losu oziębiły krew wrącą młodości. Zdrowie moje nigdy nie odzyskało straconej przez chorobę i pobyt w wilgotnem więzieniu zbrodniarzy pierwotnej mocy; umysł mój dotychczas nie otrząsnął się z wrażeń ciemności Dnia Ostatniego Pompei, okropności i zniszczenia tego straszliwego wzburzenia natury! Dla drogiej i nieodżałowanej Nidyi wzniosłem grób widzialny z okna mojej pracowni. Na ten widok, czułem wspomnieniem i łagodnym smutkiem składam hołd jej wierności i tajemnicy, okrywającej przedwczesny jej zgon. Jona zbiera kwiaty, ale moja tylko ręka splata codzień dla jej grobu girlandy. Nidya godną była mieć pomnik w Atenach.

„Donosisz mi, że sekta chrześcian coraz więcej rozkrzewia się w Rzymie. Tobie, Sallustyuszu, mogę moją tajemnicę powierzyć: długo zastanawiałem się nad tą wiarą i... nawróciłem się. Po zburzeniu Pompei, raz jeszcze widziałem Olinta .. Niestety! ocalał na chwilę, aby zaraz potem paść męczeńską ofiarą swej nieugiętej energii i gorliwości. Za jego wpływem, poznałem rękę Boga nieznanego, w podwójnem ocaleniu ze lwiej paszczęki i z niebezpieczeństw trzęsienia ziemi. Słuchałem go... uwierzyłem .. uległem! Moja Jona, którą kocham, jak nigdy, przyjęła także tę wiarę!... wiarę, która, darząc światłem to życie wszystkie jego promienie skupia ku drugiemu, jak

zachód słońca! Wiemy, że ciałem i duszą jesteśmy złączeni z sobą na wieki! Przejdzie pasmo wieków, rozsypią się nasze popioły, zniknie nawet ziemia, ale koło życia toczyć się zawsze będzie w trwałej i nieskończonej wieczności nieba! Jak ziemia żyzność swą czerpie ze słońca, tak nieśmiertelność szczęście bierze od cnoty, *która jest uśmiechem Boskiego oblicza*! Przybądź do mnie, Sallustyuszu; przywieź z sobą księgi Epikura, Pitagoresa, Dyogenesa; przygotuj się do przegranej; usiadłszy w gajach Akadema, stoczymy spór o wielkiem zagadnieniu rzetelnego końca życia, i natury duszy.

Jona... na to imię wzrusza się jeszcze me serce! Jona jest przy mnie, gdy kreślę te wyrazy; podnoszę oczy i napotykam jej uśmiech. Promienie słońca drgają na Himecie, a w ogrodzie moim brzęczą roje pszczół letnich. Pytasz mię, czym szczęśliwy? Ach! mógłżebym znaleźć w Rzymie to, co mię czaruje w Atenach? Tu wszystko obudza duszę i podnieca czułość... Drzewa, wody, góry, niebo, wszystko należy do Aten! piękny acz smutny gród poezyi i mądrości świata. W salonie moim widzę posągi przodków; w Ceramiku przyglądam się ich grobom! Na każdej ulicy poznaję rękę Fidyasza i geniusz Peryklesa. Żyją we wszystkich sercach, a przynajmniej w mojem nigdy nie zaginą Harmodyusz i Arystogiton. Zapomnieć, żem Ateńczyk, mógłbym tylko dla miłości Jony; miłości tej, tak czułej, tak trwałej, tak nieusypiającej w żadnej chwili życia, żaden z poetów naszych nie umiał nigdy opisać, bo źródło swe bierze

z nowej religii naszej, jednocząc się z najczystszemi i nadziemskiemi uczuciami; spodziewamy się, że miłość ta całą wieczność żyć będzie, bo nie zawstydzimy się jej w obliczu Boga naszego! Jest to rzetelny obraz tajemniczej bajki Erosa i Psychy; duszy usypiającej w objęciach miłości. Wyznam ci wreszcie, Sallustyuszu, że wiara moja odznacza się łagodną cechą obyczajów Grecyi... Nie mogę tak być żarliwym, jak inni współwyznawcy, którzy mają za potępionych zbrodniarzy tych, co nie myślą, jak oni. Nie przejmuje mnie zgroza, gdy o obcych mówię wyznaniach; nie *przeklinam* ich wyznawców, lecz błagam ojca, który jest w niebiosach, aby ich *nawrócił*. Ta obojętność pozorna wystawia mię na niejakie podejrzenia u chrześcian; ale przebaczam im, a nie obrażając przesądów gminu, mam możność zasłaniać moich braci od niebezpieczeństw, na jakie narażają się przez zbytek żarliwości. Umiarkowanie, o ile jest owocem życzliwości, otwiera najrozleglejsze pole dla dobroczynności.

Taki mój tryb życia, Sallustyuszu, i taki sposób myślenia. A ty, luby i wesoły uczniu Epikura, ty... Lecz przybądź i przypatrz się naszym rozkoszom, naszym nadziejom... a wyznasz, że ani blask biesiad cesarskich, ani oklaski cyrku, ani ożywione forum, ani świetny teatr, ani wspaniałe ogrody, ani rozkoszne kąpiele Rzymu nie zdołałyby żywszem i trwalszem obdarzyć szczęściem przyjaciela, którego tak niesłusznie żałujesz, Glauka Ateńczyku!... Bywaj zdrów!“

. . . . . .

Upłynęło prawie siedemnaście wieków, gdy Pompeja, w całej świetności pierwszych kolorów życia, powstała z grobu milczenia; *) na jej obiciach jaśniała świeżość dnia wczorajszego, na jej brukach mozaikowych ani jednej skazy zużycia i czasu, w jej forum, jeszcze nieskończone ręką rzemieślnika kolumny; w jej ogrodach, ofiarne trójnogi; w salonach domów, sprzęty, lampy, kufry; w teatrach, bilety wnijścia; w jadalniach ślady ostatniej biesiady; w sypialniach wonności i pięknidła nieszczęśliwych piękności; ale śród tego wszystkiego kości i kościotrupy tych, którzy byli głównemi sprężynami życia, na tym miniaturowym teatrze cywilizacyi rzymskiej.

W poddziemiach sklepieniach domu Dyomeda znaleziono dwadzieścia skieletów, a w ich liczbie, dziecko u piersi; wszystkie skupione były w jednem miejscu u drzwi. Okrywał je pył drobnych popiołów, które zapewne zwolna przenikały przez otwory, aż nim całej nie ogarnęły przestrzeni. Wraz z nimi znaleziono klejnoty, pieniądze, świeczniki, stwardniałe wino w amforach, i inne dowody próżnych usiłowań przedłużenia powolnego skonu. W skamieniałym od wilgoci piasku, jakby w formie, wycisnęły się przedmioty, a ciekawy podróżny dziś jeszcze widzieć może odcisk popiersia młodej i hożej kobiety; była to nieszczęsna Julia. Wznosićby można, że gdy powietrze

*) Zniszczona roku 79, otkryta 1750.

zamieniło się stopniowo w siarczystą parę, mieszkańcy sklepień rzucili się ku drzwiom, a nie mogąc odepchnąć zawalających je zewnątrz skalistych odłamów, znaleźli zgon w duszących wyziewach, które ich otaczały.

W ogrodzie znaleziono kościotrup, trzymający klucz w ręku; przy nim był wór pieniędzy. Wnoszą, że to być musiał pan domu, nieszczęśliwy Dyomed, który, pragnąc uciekać przez ogród, zginął od duszących wyziewów, albo od lecącego z góry kamienia. Dalej nieco było kilka naczyń srebrnych i drugi kościotrup, zapewne niewolnika.

Domy Sallustyusza i Pansy, świątynię Izydy, a w niej skrytki za posągami, z których udzielano świętych wyroczni, oglądają teraz ciekawi. W jednej z izb tej świątyni, znaleziono ogromny skielet, a przy nim leżący topór; dwie ściany są tym toporem przebite; dalej nie zdołała przedrzeć się ofiara śmierci. W mieście znaleziono inny kościotrup, obarczony wielu sztukami rozmaitych monet i tajemniczych ozdób świątyni Izydy. Był to chciwy Kalenus, którego śmierć dotknęła wraz z Burbo. Grzebiąc dalej, znaleziono szkielet człowieka, przeciętego na dwoje upadkiem kolumny. Czaszka jego była tak dziwnej budowy, organa jej, tak umysłowe jak fizyczne, tyle przedstawiały genialnych przymiotów, że zwolennicy Spurzhejma, którzy mieli sposobność ją widzieć, nie mogli się dosyć nacieszyć widokiem tego siedliska rozumu. Po upływie ośmnastu wieków podróżny wi-

dzieć może salę, napełnioną ciekawemi galeryami i niszami dziwnej budowy, śród których myślała, rozumowała i marzyła zbrodnicza dusza Arbacesa z Egiptu *).

KONIEC.

*) Dotąd znaleziono w Pompei 350 do 400 kościotrupów; ale gdy większa część miasta nie jest jeszcze odkopana, nie jesteśmy w stanie wyrachować ilości ofiar. Sądzimy jednak, że liczba ich mniejszą być musi od tych, którzy się ratowali ucieczką. Kościotrupy, któreśmy w biegu tej powieści wskrzesili pod imionami Kalena, Burba, Dyomeda, Julii i Arbacesa, znalezione zostały właśnie w takiem położeniu, jakie ukazaliśmy w powieści.

Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

St. Kozłowski „**Taboryci**“, dramat w pięciu aktach . . . . . tom 1
T. T. Jeż „**W Zaraniu**“, powieść . . . . . tomów 3
E. Goncourt „**Bracia Zemganno**“ . . . . tom 1
T. Padalica „**Powieści Ukraińskie**“ . . . . „ 1
Edm. Rostand „**Cyrano de Bergerac**“, komedya bohaterska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego . . . . . tomów 2
Irena Mrozowicka „**W płytkim prądzie**“ . . tom 1
Jonas Lie „**O Zachodzie**“, powieść norweska „ 1
Klementyna z Tańskich Hofmanowa „**Krystyna**“ . . . . . tomów 2
H. Andersen „**Bajki i Opowiadania**“ . . . tom 1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów)

Józef Bliziński „**Obrazki**“ . . . . . tom 1
Artur Gruszecki „**Szarańcza**“ powieść na tle stosunków szląskich . . . . . tomów 3
Juliusz Breton „**Artysta**“ (Savarette) . . tom 1
Jan Lam „**Wielki Świat Capowic**“ . . . tomów 2
„**Głowy do pozłoty**“ . . . . tomów 4
J. W. Goethe „**Reineke-Lis**“ . . . . . tom 1
Stanisław Pilecki „**Dwa głosy**“ . . . . tom 1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów),

Marya Konopnicka „**Pod prawem**“ powieść tom 1
Teofil Lenartowicz „**Poezye**“ . . . . . tom 1
Marya Konopnicka „**Nowele**“ . . . . . tom 1
Adolf Dygasiński „**W Kielcach**“ opowiadania i uwagi o czasach szkolnych . tom 1

Marya Konopnicka „**Nowele**“ . . . . . tom 1
Józefat Nowiński „**Biała gołąbka**“ poemat dramatyczny w 5 aktach . . . . . tomów 2
Marek Twain „**Bajeczki dla starych dzieci**“ przełożone z oryginału przez *Alinę Świderską* . . . . . tom 1
Michał Synoradzki „**Muszkieterowie króla jegomości**“ romans historyczny. . . tomów 4
Eliza Orzeszkowa „**Jędza**“ . . . . . tom 1

Kwartał III r. 1899 (13 tomów).

K. Junosza „**Żywota i Sprawlmć pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro**“ tomów 2
Wanda Grot-Bęczkowska. „**W mieszczańskiem gnieździe**“ powieść . . . . . tomów 2
Lord Byron „**Wędrówki Childe - Harolda**“ poemat, tłom z ang. przez *A. A. K.* . tomów 2
A. K. Smaczniński. „**Na dnie otchłani**“ powieść współczesna . . . . . tom 1
Marya Łopuszańska „**Bezkrólewie**“ powieść historyczna. . . . . tomów 4
H. G. Wells „**Wojna światów**“ przekład z angielskiego *Maryi Wentz'l* . . . . tomów 2

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale IV-tym roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“.

Edward Maliszewski „**Z życia**“ . . . . . tom 1
Wiktor Gomulicki „**Wybór Nowel**“ . . . tomów 2
E. L. Bulwer „**Ostatnie dni Pompei**“ . . tomów 4

1-4

WYŻSZA SZ[illegible]OŁA
PEDAGOGICZNA W KI[illegible]CH
BIBLIOTE[illegible]
130[illegible]

Biblioteka WSP Kielce
0149726